

# Pod równikiem



STEFAN SZOLC-ROGOZIŃSKI

## Pod równikiem

ODCZYTY S. S. ROGOZIŃSKIEGO WYPOWIEDZIANE W SALI RADNEJ MIASTA KRAKOWA.

*Pamięci niezapomnianego druha i towarzysza broni śp. Klemensa Tomczeka  
Tobie, wierny mój Klemensie, któryś poległ przedwcześnie tam, gdzie jedna łączyła nas praca  
i jeden duch nas ożywiał — poświęca te wspólne wspomnienia osamotniony towarzyszu.  
Gdy spod koron pierzastych palm mondolijskich, u stóp których skromna Twa leży mogiła,  
spojrzysz na nasze cienie pełne drogi z krain cieni i dusz, wspomnij, ile wspólnych  
przeżyliśmy dni, czy to wśród chłodnej północy, czy wśród afrykańskich lasów, i odwiedź  
niekiedy, wolny już duchu, te puste progi przyjaciela, który nie wiedział, że na owej ziemi  
złoży i Ciebie do snu, wołając z garstką wiecznych jej krajowców ostatnie żalu pełne:  
„Asjuéli buam!”*

### DO CZYTELNIKA

Publikując niniejsze streszczenie odbytej w latach 1882–1885 podróży, a przedstawione w czterech odczytach w Sali Radnej miasta Krakowa po powrocie mym z Afryki, pragnę zadość uczynić żądaniu przyjaciół ekspedycji, którzy nie mogli być obecni na samych odczytach.

Obszerny opis podróży wyjdzie dopiero z końcem tego roku; niniejsza praca więc zawiera jedynie opis przebiegu wyprawy i zajęć towarzyszących jej podczas ostatnich miesięcy pobytu mego u brzegów kameruńskich, mylnie i zupełnie nieprawdziwie przedstawionych w swoim czasie przez prasę niemiecką.

Kraków, w czerwcu 1886 r.

S. S. R.

### ROZDZIAŁ I

*Wstęp. Madera i Teneryfa. Do królestwa Assini po zwiedzeniu Liberii. Pobyt w Krindzabo u dworu króla Amatifu. Życie w assinijskiej stolicy i jej zwyczaje. Uczta królewska. Pożegnania. Mały Anema. Fernando Poo. Rekonesans brzegów kameruńskich. Zatoka Ambas. Victoria. Mondoleh. Umowa z kacykiem Akemą. Ostateczne przybycie na wyspę Mondoleh. Budowa stacji. Strata „Łucji-Małgorzaty”. W głąb kraju z Klemensem Tomczekiem.*

Na dalekich wybrzeżach — pod gorącym słońcem afrykańskiego nieba, wynurza się z falującego łona ekwatorialnych<sup>1</sup> wód Atlantyku górzysta kraina, niedawno jeszcze mało komu znana, a nosząca miano Gór Kameruńskich. Nieprzeparta siła ciągnęła mnie od dawna ku niebotycznym tym skłonom i ku tym przestrzeniom afrykańskiego lądu, które na północy i wschodzie od nich drzemały jeszcze w zmroku dziewiczych lasów snem nietkniętej przyrody, niezapoznane ze stopą białego człowieka.

Głębokie przekonanie o ważności zadania geograficznego, przedstawiającego się w tych stronach — obszar ziem nieznanych rozpościerających się tu we wnętrzu lądu afrykańskiego — popychało mnie naprzód ku zrealizowaniu długo kołysanego w myśli planu

<sup>1</sup>ekwatorialny — równikowy. [przypis edytorski]

zbadań tych przestrzeni i po długich walkach udało mi się zorganizować ekspedycję i wyruszyć pod równik.

Dwaj zawsze wierni towarzysze, z których jeden, niestety, został na placu naukowego boju jako wierny pionier wiedzy: śp. Klemens Tomczek i p. Leopold Janikowski, przyrzekli być zawsze ze mną, dla zadania naszego gotowi znieść wszystko, co losy nam wspólnie zgotują. I dotrzymali świąt swego słowa: pierwszy do śmierci, ostatni do końca dotychczasowej pracy. Łączyła nas nadzieja stworzenia kilku kart nowych dla wiedzy, z polskiej zestawionych pracy — podniesienia i u nas ruchu geograficznego w tak wielkim znajdującym się zastoju — a imię i dobra sława kraju, który nas zrodził, w chwilach najcięższych ducha nam podnosiły.

Żegnałem naszą Wisłę ojczystą w marcu 1882 roku, a spoglądając po raz ostatni na drodze stare jej wody, czułem w głębi duszy, że mam siłę do walki, jaka mnie czekała, i ślubowałem sobie walczyć rzetelnie pod jej sztandarem w międzynarodowym turnieju wiedzy i składać przy jej brzegach wszystkie me zdobycze, dopóki tylko Wódz wodzów pozostawi we mnie iskrę życia — ostatnie duszy tchnienie!

Cztery blisko lata minęły od tej chwili — trzy z nich upłynęły wśród czarnych synów Afryki i ich lasów dziewiczych — i oto znów jest mi dozwolone stać na ziemi ojczystej! Obrazy tych trzech lat wydają mi się dziś, gdy patrzę na nie z murów starego Krakowa, dziwną długą fatamorganą, widziałem z tysiąca i jednej nocy, i niejednokrotnie, gdy się przesuwa w myśli ten kalejdoskop mej pielgrzymki, zadaję sobie pytanie: „Czy to był sen nocy ekwatorialnej, czy też śnię teraz wśród śniegów i lodów północy, patrząc na wieżę mariacką i mogiłę Kościuszki?” Widocznie to rzeczywistość! Notatki i mapy, zebrane wśród gąszczów stron nieznanych, dowieszone zostały spokojnie tu do opracowania; zbiory nasze spoczęły szczęśliwie nad Wisłą po kilkunastu tysiącach kilometrów drogi, dla pożytku tych, którym losy nie dozwoliły czytać wprost z żywej księgi, z przyrody samej, i składając dzięki Najwyższemu, że dozwolił choć dwóm ze szczupłego naszego grona dotrzeć szczęśliwie do portu — postaram się w tym miejscu skreślić choć przelotnie przebieg naszej trzyletniej podróży, jej burz, radości i smutków.

Wyekwipowawszy w francuskim porcie Hawrze żaglowiec nasz, „Łucję-Małgorzatę”, zakupioną dla naszej podróży, podniosłem kotwicę dnia 13 grudnia 1882 roku, płynąc przez Maderę do Zatoki Gwinejskiej, w której środku leżą Góry Kameruńskie, cel drogi morskiej naszej.

Z początku Madera miała być jedyną stacją, lecz przychylnie okoliczności dozwoliły następnie na rozszerzenie programu żeglugi „Łucji-Małgorzaty” i zwiedzenie oprócz uroczej tej wyspy również i niemniej piękne jej siostry, Wyspy Kanaryjskie, Rzeczpospolitą Liberyjską, dwór assinijskiego króla Amatifu, Złoty Brzeg<sup>2</sup> oraz hiszpańską wyspę Fernando Poo<sup>3</sup>.

Madera, Teneryfa (główna z Wysp Kanaryjskich) były dla nas ostatnimi dźwiękami Europy i świata cywilizacyjnego w ogóle, ale były to dźwięki, które nam długo pozostały w pamięci, a które bodaj niezatarte zostaną na zawsze.

Na pierwszej przyjmował nas ze staropolską gościnnością wielkoduszny rodak, hrabia Benedykt Tyszkiewicz z Czerwonego Dworu, stale tam wtedy przebywający wraz z rodziną. Burze, jakie były rzucały<sup>4</sup> drobnym naszym statkiem po drodze do Madery, liczne wyrządziły nam szkody — byliśmy po prostu tym zatrzymani, w trudnym znajdując się położeniu — ale ani na chwilę nie dozwolił szlachetny protektor<sup>5</sup> naszej wyprawy zaciążyć myślom posępnym; dzięki niemu „Łucja” na nowo wyekwipowana została, podczas gdy on pokazywał nam wspaniałe krajobrazy tej perły Atlantyku.

Niechaj będzie mi pozwolone złożyć tu w tej chwili cześć i dzięki zacnej tej postaci, choć słabe echo tego, co czułem i czuję dla niego na morzu i na lądzie! Nie bylibyśmy stąpali w ogóle po Górach Kameruńskich bez jego szlachetnej, trzykrotnie nam podanej pomocy.

<sup>2</sup>Złoty Brzeg — Złote Wybrzeże, kolonia brytyjska nad Zatoką Gwinejską, utworzona w 1821, w 1957 uzyskała niepodległość i zmieniła nazwę na Ghana. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>Fernando Poo — dziś: Bioko, największa wyspa należąca do Gwinei Równikowej. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>były rzucały (daw.) — forma czasu zaprzeszczonego; znaczenie: rzucały wcześniej, uprzednio (przed wydarzeniami a. czynnościami wyrażonymi formą zwykłego czasu przeszłego). [przypis edytorski]

<sup>5</sup>protektor (z łac.) — opiekun, obrońca. [przypis edytorski]

Barwne były również obrazy, jakie zawdzięczamy Wyspom Kanaryjskim, Teneryfie i jej obfitej wiecznie młodej przyrodzie, jej dolinom o barwnych kwiecistych kobiercach z winnic, róż i kamelii, jej górcom sięgającym nad chmury i jej skarbom, złożonym przez dawno zapomniane pokolenie Guanczów (pierwotnych jej mieszkańców), które dały nam pierwsze naukowe zdobycze tej podróży.

Następnie opuściliśmy towarzystwo białych ludzi, świat ucywilizowany i „Łucja” wstąpiła na wody afrykańskie. Dnia 5 marca 1883 roku ujrzeliśmy po raz pierwszy ląd, do któregośmy dążyli, zwiedziliśmy Liberię, rzekę św. Pawła, i stanęli nareszcie u aszantyjskich<sup>6</sup> brzegów w kraju Assini<sup>7</sup>.

Pozostawiłem tu okręt chwilowo na kotwicy i udaliśmy się w głąb kraju, by zwiedzić dwór jego władcy, potężnego króla Amatifu. Zostaje on pod protektoratem<sup>8</sup> francuskim, lecz mimo to jest nieograniczonym na wewnątrz władcą swego kraju, którego zwiedzenie zdawało mi się być uwagi godnym, tym bardziej że to prawie kącik zapomniany na tych wybrzeżach. Oczekiwania też nas nie omyliły bynajmniej! Silne, pięknie zbudowane postacie o brązowej cerze powitały nas na brzegu morskim i po wysłaniu uprzedzającego naszego poselstwa do Krindżabo<sup>9</sup>, stolicy króla (o dwa dni drogi od brzegu odległej), i wypocząwszy w francuskiej faktorii, ruszyliśmy sami w drogę.

Prowadziła ona po Rzece Assinijskiej<sup>10</sup>; przebyliśmy następnie jezioro Abe<sup>11</sup>, a dalej prowadził nas przewodnik Kastor w górę rzeki Krindżabo. Płynęliśmy w obszernej łodzi francuskiej faktorii. Znaczenie, potęga i bogactwa afrykańskiego monarchy, któregośmy odwiedzali, wymagały i z naszej strony pewnej ostentacji. Obszerna, rozpięta markiza<sup>12</sup> osłaniała nasze głowy od prostopadłych promieni słonecznych, podczas gdy 16 silnych ramion czarnych naszych wiosłarzy pchało łódź naprzód po malowniczej rzece, wśród przesuwających się lasów dziewiczych i osad murzyńskich do przystani krajowej stolicy, odległej jeszcze o kilka kilometrów od rzeki.

Dzięki gościnności pewnego Francuza, p. Bretignère, francuska faktoria zaopatrzyła nas w najrozmaitsze zapasy, dodała nam komplet służby czarnej, kucharzy i tłumaczy, i we wszystkim była pomyślna o naszej wygodzie, o ile ona jest możliwa w tych stronach. Osobna zaś skrzynia zawierała podarki dla króla. Wyniesiono nas podług afrykańskiego zwyczaju z łodzi na przystań. Tu czekało poselstwo króla Amatifu, grupa imponujących czarnych postaci malowniczo ugrupowanych w kolorowe togi.

Wymieniono wzajemne pozdrowienia. Poseł królewski oświadczył, iż Amatifu usłyszał z zadowoleniem o naszym szczęśliwym przybyciu i zamiarze odwiedzenia jego dworu, że spodziewa się, iż zostaniemy u niego długo, żeśmy zdrowi, że on zdrow również i że nas czeka. Niewolnicy królewscy odebrali naszym ludziom ciężary niesionego bagażu, by karawana nasza obciążona nie była w drodze ku miastu, na gościnnej ziemi assinijskiej. Wyprzedził ją goniec wysłany naprzód przez poselstwo królewskie, by Amatifu jak najprędzej miał sprawozdanie o tak ważnym wypadku.

Zaledwie wstąpiliśmy na drogę prowadzącą od przystani do miasta, gdy zauważyłem, że król Amatifu kazał przeciąć przez lasy dziewicze oddzielną dla nas drogę, szeroką na kilka metrów, a prowadzącą od samej rzeki do stolicy jego, a więc ciągnącą się przez kilka kilometrów. Mając na uwadze, że assinijski monarcha miał do tego zaledwie dwie doby czasu, należy przypuszczać, iż chyba spędził do pracy całą ludność stolicy. Tu i ówdzie

<sup>6</sup>*Aszanti, Aszantowie* a. *Asante* — lud afrykański zamieszkujący Ghanę, Togo i Wybrzeże Kości Słoniowej; na pocz. XVIII w. stworzyli imperium w Afryce Zachodniej; toczyli walki z sąsiednimi królestwami i plemionami, pokonali Brytyjczyków w pierwszych dwóch z czterech wojen (1823–1896). [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*Assini* — dziś: Assinie, region w pld-wsch. części Wybrzeża Kości Słoniowej, przy granicy z Ghaną; w 1637 Francuzi założyli tam misję, zaś w 1843–1845 podpisali traktaty z królami regionów Grand Bassam i Assinie, czyniąc ich terytoria francuskim protektoratem. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*protektorat* (z łac. *protectio*: osłona) — forma zależności politycznej, w której państwo posiadające własny ustrój znajduje się pod kontrolą obcego, silniejszego państwa (protektora), prowadzącego jego sprawy zewnętrzne, np. politykę zagraniczną i gospodarczą. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>*Krindżabo* (fr., ang. *Krindjabo*) — ob. wioska w pld.-wsch. części Wybrzeża Kości Słoniowej. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>*Rzeka Assinijska* — laguna Assini w ob. Wybrzeżu Kości Słoniowej. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>*jezioro Abe* — laguna Aby, największa z lagun tworzących zespół lagun Aby w ob. Wybrzeżu Kości Słoniowej, składający się z trzech części, z zachodu na wschód: laguna Aby, laguna Tendo i laguna Ehy. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>*markiza* — ruchomy daszek z płótna chroniący przed słońcem. [przypis edytorski]

spotkaliśmy grupy krajowców, a nowe poselstwo króla potwierdziło wkrótce moje przypuszczenie, oświadczyło ono bowiem, iż Amatifu rad<sup>13</sup> wiadomości, że znajdujemy się na ziemi assinijskiej, spodziewa się, żeśmy zdrowi, że on zdrow również, a znając, iż w kraju białych panują wszelkie wygody, zwołał wszystkich swych ludzi, by utworzyć drogę dogodną dla swych gości.

Znów nastąpiło podziękowanie — nowy czarny kurier podążył w kierunku królewskiego pałacu i po kilkudziesięciu minutach marszu stanęliśmy u wrót jego stolicy, w Krindzabo.

Miasto to przedstawiało się jako niezmierny konglomerat glinianych, dość misternie wygładzonych czworoboków. Ulice były czysto pozamiatane, tu i ówdzie stały gromadki Assińczyków, nieruchomych, w swych czystych togach, jak gdyby z brązu odlanych, podczas gdyśmy zbliżali się do głównego punktu miasta, do pałacu króla. Syn jego najstarszy, Kassja, prowadził nas od samych wrót. Pałac królewski zajmował całą część miasta i składał się z kilkudziesięciu czworoboków. Główna fasada wychodziła na rozległy plac, na którym zwykle odbywają się zebrania religijne i prawodawcze, w pośrodku zaś takowego stało olbrzymie drzewo kauczukowe, główna świętość (fetysz) kraju. Naprzeciw tego drzewa pałac królewski był wyższy o jedno piętro, wznoszące się ponad ogólny rząd zabudowań, a wybudowane przez francuskiego architekta za czasów francuskiego protektoratu ponad krajem.

W parterowej części tej fasady znajdowało się główne wejście, na piętrze zaś galowe pokoje Jego Królewskiej Mości i obszerny taras, rodzaj balkonu, z którego Amatifu w chwilach uroczystych ukazuje się swoim poddanym. Tu przygotowano dla nas pokoje.

Główna komnata zawierała wokoło ścian tapczany, składające się z warstwy mat palmowych pokrytych jedwabnymi pokrowcami, w pośrodku zaś stał stół europejski przykryty czerwoną materią. Stały na nim owoce, wino palmowe i dar cywilizowanej Europy, butelka koniaku.

Zmieniwszy przepoczone drogą ubranie, posłaliśmy inteligentnego naszego tłumacza Kastora do króla Amatifu z doniesieniem, żeśmy przybyli, że dziękujemy za wygodną drogę, troskliwe wypytywanie się o nasze zdrowie i za gościnnie przygotowane dla nas pokoje, zapewniając, że zdrowie nasze nie pozostawia nic do życzenia, i wyrażając nadzieję, że stan zdrowia Jego Królewskiej Mości jest również dobry. Zapytujemy następnie, czy może nas przyjąć lub czyli<sup>14</sup> też sam nas odwiedzi.

Za chwilę poseł nasz powrócił wraz z dwoma dygnitarzami króla donoszącymi, że Amatifu, uszczęśliwiony naszym przybyciem, wkrótce nas przyjdzie pozdrowić i czeka tylko, byśmy wypoczęli z drogi. Kazałem więc przygotować przywiezione podarki; składały się one z dwóch dywanów, kilku innych przedmiotów i kilkunastu galonów<sup>15</sup> anyżówki. Dzięki bowiem panu Bretignère dowiedzieliśmy się już w francuskiej faktorii, że przedmiot ten wzbudzi najwyższe zadowolenie Jego Królewskiej Mości.

Wewnętrzne podwórze naszej rezydencji napełniło się tymczasem mrowiskiem głów czarnych, spoglądających z ciekawością ku naszym drzwiom. Nagle ucichło, pomiędzy tłumem powstał chwilowy ruch rozsuwających się kolumn i ujrzeliśmy na schodach starca, który w towarzystwie kilku innych czarnych stanął za chwilę we drzwiach. Był to Amatifu.

Niejednego zdziwi charakterystyka wspaniałej tej postaci. Był to stuosmioletni starzec; fioletowa jedwabna toga splotła się z jego ramion, a ponad nimi wznosiła się dumna, inteligentna głowa okoloną imponującą białą brodą. Na ramionach miał ciężkie złote bransolety z rodzimego kruszcu, na palcach liczne pierścienie; szpeciły go jedynie nieforemne pepity<sup>16</sup> złota wplecione do brody, a przedstawiające w sumie wagę kilku funtów<sup>17</sup>.

Wstaliśmy z miejsca, patrząc w milczeniu na siebie przez kilka minut, tak bowiem wymagała etykieta krajowa. Następnie spotkaliśmy się w pośrodku pokoju, podając sobie

<sup>13</sup>rad (daw.) — zadowolony. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>czyli (daw.) — konstrukcja z partykułą -li; inaczej: czy też, czy aby. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>galon — anglosaska miara objętości płynów i ciał sypkich; galon angielski jest równy ok. 4,5 litra. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>pepita (z fr. *pépita*) — samorodek, bryłka cennego metalu powstała w przyrodzie drogą naturalną; pol.: wzór na tkaninie przypominający kratkę lub tkanina z takim wzorem. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>funt — dawna jednostka wagi, równa 0,4–0,5 kg. [przypis edytorski]

ręce, po czym obie partie<sup>18</sup> zajęły swe siedzenia i znów nastąpiło kilkuminutowe milczenie. Przerwano je wreszcie z naszej strony przez p. Bretignére. Przedstawił on czarnemu monarsze przybyszów z dalekich stron i wyraził swą radość, że „lata, mijając, nad dostojną jego głową nie pozostawiają najmniejszego na niej śladu starości, przeciwnie, zdają się dodawać mu młodości i siły”.

Na to nastąpiły: odpowiedź króla, przemowa moja i powtórna jego odpowiedź.

— Za dawnych czasów — rzekł — Aszanti i Assini stanowiły jeden kraj, a ich stolice, Kummasi<sup>19</sup> i Krindzabo, dzielnice jednej rodziny, potem dopiero rozdzieliliśmy się, a wtedy Assini pragnęło żyć w przyjaźni z białymi. Dawno temu oddałem kraj ten pod opiekę Francji, Francuzi też wybudowali część tego pałacu i przez długie lata utrzymywali tu u nas swoich ludzi. Potem znów nas opuścili i zdaje się, że od tego czasu zapomniano w kraju białych o naszej ziemi. Kiedy w tych dniach przybyli posłańcy z brzegu, donosząc nam, iż znów biali przybywają do Krindzabo, serce nasze było bardzo uradowane i proszę was, byście się czuli na ziemi króla Amatifu jak na waszej własnej. Jutro zwołamy ludzi naszych na uroczystość. Bądźcie u nas długo i w dobrym zdrowiu, a kiedy potem powrócicie do kraju białych, powiedzcie im wszystkim, że Amatifu pragnie mieć ich jak najwięcej u siebie, że kraj jego bogaty, obfituje w kość słoniową i złoto i że wszystkie otworzy im drogi.

Słowa królewskie przełożył nam bystry nasz tłumacz Kastor i przyrzekłszy staremu Amatifu powtórzyć ich treść w Europie oraz podziękowawszy mu za przyjaźń dla białych, zapytaliśmy, czy zechce przyjąć kilka upominków, przywiezionych dla niego na pamiątkę naszego pobytu.

Dywany i inne przedmioty podobały się Jego Królewskiej Mości, lecz twarz jego rozjaśniła się zupełnie na widok galonów z anyżówką, pierwszą faworytą jego dworu. Musiałem nalać z każdego naczynia, pijąc jego zdrowie, na znak, że napój nie jest szkodliwy. Amatifu podał takowy swoim ministrom, którzy uczynili toż samo, a pokrzepiwszy się wreszcie sam kilkakrotnie, pożegnał nas, oświadczając, iż jutro przyśle nam swoje podarki i zwoła ludność na uroczyste nasze przyjęcie.

Gdy wyszedł, dowiedziałem się o nim ciekawych szczegółów. Przeszło stuletni starzec posiada około siedemdziesięciu żon, mających od jedenastu do sześćdziesięciu lat. Synów ma około pięćdziesięciu, jak Pryjam<sup>20</sup> trojański; najmłodszy z nich liczą od pięciu do sześciu lat wieku, są zaś rażąco podobni do ojca; co do ilości córek, nie jest ona wiadoma samemu Amatifu.

Smutny jednakże los czeka owe żony królewskie: w chwili śmierci ich starego małżonka wszystkie zostaną ścięte. Dziwi to może Europejczyka, iż Francja pozwoli na takie barbarzyństwo w swoim protektoracie, lecz wszelka interwencja okaże się tu próżna.

Gdy umrze król, fetyszerzy wyprowadzą biedne ofiary potajemnie do dziewiczego lasa, gdzie odbędzie się krwawy obrzęd, nikt zaś nie będzie jeszcze wiedział, że król już umarł, dopiero po spełnionej egzekucji ludność uwiadomiona zostanie o śmierci króla, a jeżeli rezydent francuski zapyta, co się stało z jego żonami, otrzyma odpowiedź, że „biedaczki, wiedząc o dawnych obyczajach, mających miejsce w takich razach, przestraszyły się i uciekły”.

Korzystając z wieczornego chłodu, udaliśmy się w odwiedziny do następcy tronu, mieszkającego w osobnej dzielnicy. Potem zwiedziliśmy miasto. Prowadził nas Kastor, pokazując osobliwości swego kraju. Słońce już zaszło; blade światło księżyca osrebrzało morze zieleni, rysującej się dokoła zasypianego Krindzabo, odbijało się ono z dziwnym urokiem od sinego tła półrównikowego nieba, a w ciemnych gąszczach okalających ulice migotały tysiączne świetliki, niby iskry brylantowe rozsypane wśród cieniów nocy, by oczarować zdumionego przybysza.

Nagle uderzył nasz dziwny widok. Wśród gęstego lasu zauważyliśmy przed nami kurhan pokryty statuetkami — to wyciosanymi z drzewa, to ulepionymi z gliny. Był to „cementarz dusz”.

<sup>18</sup>partia — tu: grupa ludzi zebranych we wspólnym celu. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>Kumasi — miasto w Ghanie, ok. 250 km na płn.-zach. od Akry; od 1695 stolica państwa Aszantów, częściowo zniszczona podczas trzeciej wojny Brytyjczyków z Aszantami w 1874; obecnie stolica regionu Aszanti. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>Priam (mit. gr.) — król Troi podczas wojny trojańskiej; miał wiele żon i liczne dzieci. [przypis edytorski]

Podług assinijskich bowiem zwyczajów, fetyszerzy zabierają ciało umarłego i chowają je w lesie, w miejscu im jedynie znanym, familia zaś stara się zwykle wystawić na owym kurhanie podobiznę zmarłego, przedstawiając go pod postacią podobnej statuetki i wierząc, że dusze zmarłych powracającą od czasu do czasu i bawią na swym pagórku.

Miałem wielką chęć zdobycia choć jednej statuetki, lecz było to niepodobieństwem<sup>21</sup>; zawsze kroczyły za nami w pewnej odległości milczące postacie fetyszerów, a śmiałość podobna byłaby zakończyła może nasz pobyt w Assini w sposób smutny i złowrogi.

Kiedyśmy powracali z naszego spaceru, by odpocząć po trudach dnia, zauważyłem przed tarasem na placu naszego mieszkania kilkaset młodych Assińczyków obojga płci klaszczących w ręce i opiewających w nader hałaśliwy sposób ważne wypadki dnia, to jest: przybycie białych. Hałas był ogłuszający i nie ustawał ani na chwilę. Wszedłszy więc do moich pokoi, zapytałem naszego Kastora, czy dziki ten koncert potrwa długo. „O, tak! — odparł Murzyn z ekstazą. — Całą noc! Panie, to bardzo piękne i dobre do zdrowego snu”. Powinnowałem sobie w duszy; nie byłem wprawdzie tego samego zdania, ale cóż było robić? Trudna rada, trzeba się stosować do krajowego zwyczaju. Zresztą zmęczenie wzięło górę i mimo monstrialnego koncertu przespaliśmy na naszych królewskich matach do rana.

Następnego dnia przybyły podarki królewskie. Składały<sup>22</sup> je przeważnie artykuły żywności, jako to wół, kilka owiec i kóz, kilkanaście kur, kosze jaj i całe pagórki owoców, zniesione przez niewolników do naszego dworu. Wkrótce potem przybyła podobna karawana z podarunkami następcy tronu, zwanego Akazammadu. Obyczaj krajowy wymagał, aby przesłane podarunki zostały spożyte wspólnie z ofiarodawcą. Akazammadu wymówił się chorobą, lecz Amatifu przyjął zaproszenie nasze na obiad i stawił się w mundurze francuskiego generał-feldmarszałka.

Stan zdrowia Jego Królewskiej Mości był jednakże tego dnia nieszczególny: zdawał się senny i cierpiący na ból głowy. Później dopiero dowiedzieliśmy się, iż przyczyną tego była zbyt obfita libacja nocna naszej anizówki, której Amatifu poświęcił wolne swe chwile w licznym gronie swych żon. Świta królewska składała się z kilkunastu dygnitarzy noszących jedwabne togi. Między nimi zwracał uwagę mówca królewski oraz inny dygnitarz, którego obowiązkiem było wycierać to miejsce posadzki, na które Jego Królewska Mość splunąć raczyła. Towarzyszyła królewskiemu małżonkowi również żona jego tygodniowa, to jest spełniająca dyżur w ciągu tego tygodnia. Ubrana była w różnokolorową jedwabną togę, włosy zaś miała obwieszona ciężkimi najrozmaitszymi złotymi ozdobami.

Zabrani z francuskiej faktorii kucharze przygotowali przy pomocy kobiet królewskich galowy nasz obiad, po części na sposób europejski, po części na afrykański. Król Amatifu posługiwał się z początku widelcem, w końcu jednakże poprosił o pozwolenie użycia swych palców, oświadczając, że aczkolwiek lubi wynalazki białych, dwie rzeczy atoli<sup>23</sup> wydają mu się uciążliwe, a mianowicie widelec i buty. Królewska jego małżonka, jakkolwiek siedziała tuż przy nim, nie mogła jednakże brać udziału w obiedzie, etykieta bowiem zabrania jej jeść w przytomności swojego pana i męża. Trzymała tylko na kolanach miseczkę, do której od czasu do czasu Amatifu składał jej część obiadu, którą dla niej przeznaczył.

Wina europejskie rozweseliły w końcu oblicze starca i po dwugodzinnym ucztowaniu pożegnał nas, by wypocząć do zapowiedzianej przez niego uroczystości. Już od świtu posłańcy królewscy zwoływali dygnitarzy assinijskich do dworu Amatifu. Liczne grupy tych posłańców spotykaliśmy na ulicach podczas ранego naszego spaceru. Jako pierwszy szedł zwykle obwoływacz, następnie dwóch fetyszerów ze znakami królewskimi, a w końcu młody Murzyn zwracający uwagę wszystkich usilnym dzwonieniem. Na tymże spacerze zauważyliśmy świątynię fetyszerską. Tworzył ją mały domek ulepiony z gliny i bambusa, a na urządzonym wywyższeniu stała beczka napełniona wapnem zakolorowanym jakąś brunatną masą. Później dopiero dowiedzieliśmy się, że była to krew ofiar. Na beczce leżał stary, zardzewiały nóż, kalabasy<sup>24</sup> z ziołami, a wkoło niej kilkadziesiąt czaszek ludzkich.

<sup>21</sup>niepodobieństwo (daw.) — coś niemożliwego a. nieprawdopodobnego. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>składać coś (daw.) — stanowić coś, tworzyć coś; składać się na coś. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>atoli (daw.) — jednak. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>kalabasa — naczynie wykonane z wydrążonego owocu. [przypis edytorski]

Ponure to miejsce i przykre pamiątki świadczyły o krwawych obyczajach kraju, trzeba jednak oddać sprawiedliwość długoletniemu panowaniu Amatifu, że barbarzyńskie te obrzędy należą do przeszłości, jakkolwiek trudno ręczyć, czy one się nie powtórzą, i to w niedalekiej przyszłości. Po śmierci bowiem dzisiejszego monarchy ludność, przez długie lata do niego przyzwyczajona, uderzona faktem tak niezwykłym, zapomni prawdopodobnie o łagodności zmarłego króla i na cześć jego kraj cały krwią zaleje, choćby dlatego tylko, by ich sąsiedzi, Aszantyjczycy z Kummasi, nie mogli się naigrawać, że król Assinijczyków poszedł na tamten świat bez odpowiedniej jego dostojności swity.

Lecz pozostawmy smutne te obrazy i podążajmy na przygotowaną dla nas ucztę.

Dostojny nasz gospodarz chciał wystąpić tak, jak występował rzadko kiedy; przyjęcie jego miało nam utkwąć na długo w pamięci i rzeczywiście dopiął zamierzonego celu. Obraz, który rozwinął się przed naszymi oczyma, był czymś, czego nigdy nie zapomnę i czego najbujniejsza nawet wyobraźnia odtworzyć sobie nie jest zdolna.

Około trzeciej po południu przybyli do naszego mieszkania Kassja i Kastor, oświadczając, że Amatifu z otoczeniem wchodzi do przeznaczonego na uroczystości czworoboku. Ogłuszający hałas i łoskot potwierdził te słowa, była to królewska muzyka witająca ukazanie się jego.

Wyszliśmy więc także, zmierzając ku ustawionym dla nas miejscom, witając etykietałnie Jego Królewską Mość, czemu wtórował nowy wybuch orkiestry.

Amatifu siedział na sorentyńskim fotelu, przykrytym jednym z dywanów przez nas mu ofiarowanych. Miał on dnia tego białą togę przetykaną złotem aszantyjskiego wyrobu; bogate bransolety i pierścionie uzupełniały jego ubiór.

Przy nim siedziało kilka jego żon, ministrowie, najwyżsi dostojnicy, u nóg zaś śliczni dwaj najmłodszy jego synowie, niby filigranowe figurki z florentyńskiego brązu. O kilka kroków od tej grupy były nasze miejsca, a dokoła kwadratowej areny falowało całe morze brunatnych twarzy siedzących z powagą na stopniach czworoboku.

Patrząc na to zebranie, zdawało się nam mimowolnie, że cofnęliśmy się o kilkanaście wieków w przeszłość i znajdujemy się wśród starożytnych Rzymian na jakichś numidyjskich<sup>25</sup> igrzyskach.

Wrażenie to zniknęło jednakże od czasu do czasu, ile razy spojrzeliśmy w kierunku muzyków królewskich.

Tu panowała Afryka w nagiej swej dzikości, przed wzniesieniem bowiem, na którym stało kilkanaście fetyszów najróżniejszych form, jako to: wypchane jaszczurki, skorupy żółwie, skóry węże i wyciosane z drzewa najdziwaczniejsze przedmioty, ciągnął się rząd olbrzymich drewnianych bębnow, a w każdy z nich biło kilka herkulesowych<sup>26</sup> ramion, co sił starczyło.

Trudno opisać ogłuszający ten koncert. Ale nie dość na tym. Królewski kapelmistrz postanowił jeszcze więcej uraczyć biedne nasze uszy i wpadł na genialny pomysł utworzenia nowego rodzaju bębnow o doskonalszej sile. W tym celu kazał rozebrać kilka beczek i zwiąawszy ich klepki w luźne paczki, bić pałkami w takowe. Przeznaczeni też do tych nowych instrumentów artyści, przejęci tą reformą assinijskiej orkiestry, oddali się swej artystycznej pracy z predylekcją<sup>27</sup>, my zaś poleciliśmy torturowane nasze uszy opiece assinijskich bogów.

Na znak dany przez króla rozpoczęła się zabawa oprowadzaniem głównych fetyszów. Naprzód podskakiwało dwóch Murzynów z długimi nożami, wywijając nimi w powietrzu, niby torując drogę; następnie biegł kapłan noszący na głowie skórę młodego aligatora, za nim dwóch innych trzymało święty przedmiot, a kończył tę procesję błazen ubrany w europejski kapelusz, wywijając rękami. Cała ta grupa zdawała się jak gdyby w spazmach, przebiegając albowiem dokoła czworoboku, rzucali się to naprzód to, w tył, trzęsąc konwulsyjnie całym ciałem.

<sup>25</sup>numidyjski (hist.) — związany z Numidią, staroż. krainą w pln.-zach. Afryce, rozciągającą się od Kartaginy do Oranu; w latach 202–46 p.n.e Numidia była królestwem Berberów, później stanowiła prowincję rzymską. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>herkulesowy — taki jak u Herkulesa, mitycznego starożytnego bohatera słynącego z nadludzkiej siły i dokonania wielu niezwykłych czynów. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>predylekcja — szczególne upodobanie, zamiętowanie. [przypis edytorski]



Ile razy przebiegali około króla, przewodnicy z nożami opuszczali takowe; przeciwnie, ile razy mijali nas, harce ich stawały się coraz gwałtowniejsze, jak gdyby tu nadzwyczajne jakieś siły sprzeciwiały się ich przejściu. Tak oprowadzono kolejno około dwudziestu fetyszów, przy zawziętym nieustannym akompaniamencie muzyki. Trwało to przeszło godzinę.

Nareszcie nastąpiła krótka pauza, artyści, fetyszerzy i zwykli śmiertelnicy pokrzepili się winem palmowym, po czym rozpoczął się drugi akt uroczystości — tańce.

Kto nie widział sposobu tańca murzyńskiego, ten nie może mieć wyobrażenia o oryginalności tego widoku. Jest to po prostu konwulsyjne, jakby spazmatyczne potrząsanie ciała na miejscu. Łydki, kolana, biodra, plecy, ramiona, głowa — wszystko trzęsie się z coraz wzrastającą siłą, pot kroplisty występuje na całym ciele tancerza lub tancerki, dopóki znużeni nie padną prawie, a rozognieni muzykanci powiększają wrzawę swych instrumentów głośnym, nieprzerwanym śpiewem.

Tak zaprodukowało się kilkanaście żon królewskich. Gorąco było niezmierne. Czystego ciemnosinego nieba, które niby błękitna przezroczysta opona rozpościerało się ponad nami, nie przerywała najmniejsza nawet chmurka. Atmosfera zdawała się być rozpalona, lecz niestrudzone nasze bajadery<sup>28</sup> nie zrażały się tym bynajmniej. Gdy zmęczenie kazało im na chwilę wypocząć, widocznie niecierpliwiły się i z nowym zapalem wypadały na arenę.

Po tańcu żon królewskich nastąpił taniec mężczyzn. Był on nieco odmienny. Tancerze puszczali się pędem na przeciwległy koniec placu, a następnie — trzęsąc się w wyżej opisany sposób — przybliżali się do nas. Od czasu do czasu zaś wybiegało dwóch malców królewskich, rozpuszczając poza sobą długie białe płótna niby powiewające skrzydła.

Słońce tymczasem zaczęło się skłaniać ku horyzontowi, uszy nasze pękały po prostu, toteż pobłogosławiliśmy chwilę, w której Amatifu dał znak do zakończenia uroczystości. Wyniesiono dla tancerzy i tancerek kilka skrzyń dżynu<sup>29</sup>, ofiarowanych w naszym imieniu przez p. Bretignère, oraz kilkanaście sztuk materii dla żon królewskich i podziękowawszy Amatifowi za to jego przyjęcie, opuściliśmy afrykański ten cyrk, udając się do naszych pokoi na odpoczynek. Niedługo jednakże mogliśmy w nich pozostać. Niebawem przybył posłaniec od króla, oświadczając, że Amatifu pragnie wręczyć nam mały upominek na pamiątkę dni u niego przebytych i że w tym celu zaraz po naszym przybyciu zwołał swych złotników, którzy wykończyli dla nas pierścienie, by je teraz nam wręczyć.

Trzeba było znów zejść na wewnętrzny dziedziniec i wkrótce stanęliśmy w prywatnych komnatach króla. Zastaliśmy go w podłużnej auli siedzącego na tym samym sorentyńskim fotelu, który mu służył w czasie uroczystości, i otoczonego licznymi domownikami.

Podniósł się nieco na nasze powitanie i zapytawszy, jak podobała się nam zabawa, wręczył mi przez Kastora wielki złoty pierścień krajowego wyrobu. Podobne, mniejsze, otrzymali moi towarzysze. Wyraziłem od nas wszystkich podziękowanie za te drogocenne i miłe pamiątki i powróciliśmy do głównego skrzydła pałacu.

Czas nam jednakże opuścić dwór gościnnego Amatifu. Właściwie leżało w projekcie mej podróży udać się jeszcze do katarakt rzeki Krindzabo, znajdujących się w Aboasso, lecz pomiędzy moimi towarzyszami wybuchła febra<sup>30</sup> nagląca do powrotu na brzeg morski.

Przy pożegnaniach wydarzyły się jeszcze różne oryginalne sceny. Następca tronu, Akazamadu, chciał koniecznie dać dla nas drugą uroczystość, a ponieważ nienawidzi królewskiego swego stryja z powodu jego sił żywotnych, chciał zaćmić daną przez niego zabawę jeszcze większym splendorem i prawdopodobnie jeszcze większymi bębniami.

Amatifu zaś, dowiedziawszy się o tym, postanowił posłać swych szpiegów na uroczystość Akazamadu i następnie dać trzecią, jeszcze świetniejszą. Przyspieszony nasz wyjazd jednakże musiał powstrzymać ich szlachetne zapęły.

Pożegnaliśmy się serdecznie i następnego poranku karawana nasza kroczyła znów ku rzece. Tu miałem dziwny dowód przywiązania: jeden z młodzieńskich synów królewskich, mały Anema, przyszedł do mnie późno wieczorem w przeddzień wyjazdu, prosząc, by

<sup>28</sup>bajadera — hinduska tancerka świątynna. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>dżyn — dziś popr.: dżin a. gin, wódka o zapachu i smaku jałowca. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>febra — malaria, tropikalna choroba pasożytnicza przenoszona przez komary, objawiająca się nawracającą gorączką i silnymi dreszczami; dawniej również ogólnie: gorączka, której towarzyszą dreszcze. [przypis edytorski]

go wziąć ze sobą. Był to śliczny chłopczyna. Z rękami skrzyżowanymi na piersiach oczekiwał mej odpowiedzi i zwiesił ze smutkiem głowę, gdy mu wytłumaczył, że to jest niemożliwe, a gdyśmy następnego rana ruszyli ku łodzi, Anema z zawiniątkiem pod pachą, postępował tuż za mną. „Nie można Anema — rzekłem mu. — My nie wracamy teraz do kraju białych, droga prowadzi jeszcze daleko, do innych waszych plemion, głęboko w gąszcze. Najczęściej nie będziemy mieli ni domu, ni dachu i Duch Wielki wie, co nas czeka”.

Ale Anema nie dał się uspokoić i już byliśmy daleko na rzece, gdy stał jeszcze nad brzegiem, patrząc łzawym okiem ze zwieszoną główką za odpływającymi.

Przybywszy nareszcie znów na brzeg morski, ujrzelśmy z przyjemnością „Łucję-Małgorzatę”, kołyszącą się spokojnie na falach, i po dniu wytchnienia, podziękowawszy serdecznie gościnnym Francuzom z faktorii, podnieśliśmy kotwicę.

Świeży wiatr morski rozdał żagle i popłynęliśmy dalej na wschód.

Zwiedziwszy angielską kolonię Złotego Brzegu<sup>31</sup>, zmieniliśmy wreszcie kierunek i dn. 16 kwietnia 1883 roku ujrzelśmy ze świtem wspaniałą Clarence-Pic<sup>32</sup>, prawie cel naszej żeglugi, wyspę Fernando Poo.

Uroczą tą wyspą przedstawia się jakby bukiet zielony, podnoszący się z fal oceanu. Z naturalnego wału okalającego jej port, zwany Santa Isabel<sup>33</sup>, zwieszają się festony lianów<sup>34</sup> ku morzu, podczas gdy główny wierzchołek jej gór, z czołem podniesionym ponad obłoki, króluje dumnie ponad spokojnym obszarem Atlantyku.

Przybycia do Santa Isabel oczekiwaliśmy wszyscy z niecierpliwością, tu albowiem po długich tygodniach mieliśmy znaleźć listy z Europy — wieści z dalekiego kraju. Hiszpanie, do których ta posiadłość należy, przyjęli nas bardzo gościnnie i podczas gdy skupywano materiał budowlany dla mającej się wkrótce rozpocząć w Górach Kameruńskich stacji naszej, spoglądaliśmy ku owym górcom pełni oczekiwania, 20 bowiem mil morskich zaledwie dzieliło nas od tej ostatniej naszej mety, od której rozpocząć się miała pionierka po nieznanym lądzie.

Wyspa Fernando Poo jest tak blisko brzegów kameruńskich, że podczas pogodnych poranków i wieczorów rysują się wyraźnie góryste ich kontury na północno-wschodniej stronie horyzontu. Nie zatrzymujemy się więc na niej, gdyż towarzysz mój Janikowski właśnie wydał szczegółowy jej opis, i płyniemy dalej, by stanąć u celu podróży.

Pragnienie dotarcia do niego pożerało mnie kompletnie, chciałem nareszcie stanąć na tej ziemi, o której niejedną noc przedumałem w Europie w szkołach jeszcze, w domu i później na pokładach okrętów za czasów mej służby marynarskiej. Toteż wyprzedzając innych, postanowiłem pozostawić jeszcze okręt w Fernando Poo i puścić się naprzód w otwartej szalupie na rekonesans. Dzielnym i drogi mój Tomczek siadł naturalnie ze mną u steru. Było to po prostu szaleństwem, na które sam dziś spoglądam ze zdziwieniem, ale wieleż<sup>35</sup> szaleństw nie popełnia człowiek w życiu, w gonitwie za urzeczywistnieniem swej wymarzonej myśli.

Wy płynęliśmy z Santa Isabel o świcie. Czterowiosłowa nasza łódź niosła oprócz nas (dwóch białych) trzech majtków Europejczyków, dwóch Murzynów, prowiant na dwie doby, kompas z wizerem<sup>36</sup>, mapę nautyczną<sup>37</sup> i kostium na zmianę dla każdego Europejczyka. Około południa byliśmy na pełnym morzu, brzegi zginęły przed nami i poza nami i musieliśmy sterować podług kompasu. Gdy podnosiła się bryza, stawiałem żagiel, gdy opadała — czarni i biali wioślarze zasiadali do pracy, a towarzyszyło nam słońce jedynie, krzyżujące w swym wysokim biegu kierunek naszej drogi. Wreszcie zaczęły się przed nami wynurzać Góry Kameruńskie — ukazała się zatoka Ambas, wyspy Mondo-

<sup>31</sup>Złoty Brzeg — Złote Wybrzeże, kolonia brytyjska nad Zatoką Gwinejską, utworzona w 1821, w 1957 uzyskała niepodległość i zmieniła nazwę na Ghana. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>Clarence-Pic — popr.: Clarence Peak, dziś: Pico Basilé, największy i najwyższy (3008 m n.p.m.) z trzech połączonych wulkanów tarczowych tworzących wyspę Bioko. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>Santa Isabel — ob. Malabo, miasto portowe na wyspie Bioko (daw. Fernando Poo) w Zat. Gwinejskiej, stolica Gwinei Równikowej. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>lianów — dziś popr. forma D. lm: lian. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>wieleż (daw.) — konstrukcja z partykułą -że skróconą do -ż i występującą w funkcji wzmacniającej; inaczej: jakże wiele, ileż. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>wizer (daw.; z fr.) — celownik, wizjer: część przyrządu służąca do celowania. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>nautyczny — związany z nawigacją morską, żeglarstwem. [przypis edytorski]

leh i Ndamah, skłony Mongo-ma-Loby<sup>38</sup>, których taras otacza zatokę amfiteatralnie — ale słońce zaszło, a jeszcze nie byliśmy u brzegu. W stronach tropikalnych ciemność następuje niezwłocznie, trudnym więc stało się nagle nasze zadanie: wchodzić w nocy do nieznannej miejscowości<sup>39</sup>, i to jeszcze na wybrzeżu afrykańskim, zwykle otoczonym burunami<sup>40</sup>. Ale cóż to znaczy, gdy się jest tak blisko celu! Musiało pójść i poszło. Bystro oko Tomczeka dostrzegło światelko na brzegu i sterowaliśmy w jego kierunku. Wkrótce byliśmy tuż przed nim, dały się słyszeć głosy z lądu i za chwilę łódź nasza ugrzęzła w piasku płaskiej przystani. Muszę się przyznać, że byliśmy obydwaj do pewnego stopnia wzruszeni na myśl, iż stoimy rzeczywiście u stóp Gór Kameruńskich, ale uczucia miały być nagłe i niemile przerwane. Zaledwie bowiem uczuliśmy grunt pod dnem łodzi, gdy uderzył w nią nadbiegający burun, sprawiając nam nieoczekiwaną zimną kąpiel. Wskoczyliśmy więc z łodzi i nakazując ludziom co prędzej wynosić nasz bagaż na brzeg, brnęliśmy sami ponad kolana w wodzie.

Ciemność była zupełna, ale mogliśmy zauważyć, że otoczyła nas chmara czarnych, przyglądających się z ciekawością nieznanym przybyszom.

Po żargonie angielszczyzny, jaką mówili, oraz po europejskich kostiumach i kapeluszach domyśliłem się, że znajdujemy się w osadzie Victoria, utworzonej dwadzieścia kilka lat temu przez angielskich niby misjonarzy, baptystów<sup>41</sup>, i że otaczająca nas publika przedstawia tak nazwanych „kolorowych dżentelmenów”, nieudolne utwory misji angielskich.

Wkrótce podszedł ku nam przełożony tej osady, p. Brew, stary Murzyn o siwej brodzie, ubrany po europejsku, zapytując, czy nie zechcemy zająć do niego, przebrać się i rozgościć. Udaliśmy się więc do jego domu, majtkowie wnieśli za nami przemoczone rzeczy i pomyślawszy o ich wieczery i posłaniu, udaliśmy się na spoczynek.

O świcie następnego dnia rozbudziliśmy się i spojrzeli dokoła. Czarujący widok przedstawił się naszym oczom; był to krajobraz tej barwnej afrykańskiej Szwajcarii, wśród którego miały nam upłynąć następne trzy lata.

Malownicza zatoka Ambas budziła się właśnie ze snu, tysiące kropel rosy błyszcząco wśród parowów i wąwozów jej gór, a w pośrodku wznosiła się wyspa Mondoleh, niby wieniec kwiecisty rzucony na fale zatoki.

Już dawniejsi podróżnicy, Barton i inni, podnosili jej korzystne warunki sanitarne, jej żywność i piękność. Odległość jej od lądu była zaledwie pół mili morskiej, a północne jej wybrzeża, leżące naprzeciw wspaniałego tarasu gór, przedstawiały cichą i wygodną przystań bez burunów i prądów, izolowane jej zaś położenie nadawało jej prócz tego charakter spokojnego miejsca do pracy. Toteż od pierwszej chwili zgodziliśmy się z Tomczekiem równocześnie na to, że wyspa Mondoleh będzie najdogodniejszym punktem dla utworzenia naszej stacji, niejako bazą operacyjną, czyli główną kwaterą dla przyszłych wycieczek, podjętych w celu zbadania przyległych nieznanych krain.

Zaraz więc, korzystając z porannego chłodu, postanowiliśmy zwiedzić obrany punkt i udaliśmy się razem ku niemu, zabrawszy ze sobą tłumacza. Przybiwszy do wschodniej części wyspy, podnoszącej się do 200 stóp<sup>42</sup> wysokości ponad poziom morza, udaliśmy się wąską ścieżką prowadzącą wśród lasu, pomiędzy skałami i urwiskami, na jej płaską wyżynę, na której znajduje się osada krajowców, licząca mniej więcej sześćdziesiąt dusz, a pozostająca pod dowództwem osobnego i niezależnego kacyka<sup>43</sup> Akemy. Obstąpiło nas mnóstwo kobiet i dzieci, lecz samego Akemy nie było. Znajdował on się na połowie ryb, zesłaliśmy więc znów na dół do przystani, posyłając do jego nieopodal stojącej pirogi krajowca i wzywając go, by przybył rozmówić się z nami.

<sup>38</sup>*Mongo-ma-Loba* — Kamerun, masyw wulkaniczny nad Zat. Gwinejską; czynny wulkan z najwyższym szczytem subsaharyjskiej Afryki zachodniej i środkowej (Fako, 4095 m n.p.m.); stanowi najbardziej wysunięte na południowy zachód odgałęzienie łańcucha gór, wzgórz i płaskowyżów, zwanego Pasmem Kameruńskim. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>*miejscowość* — tu: miejsce, okolica. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>*burun* (daw., z ros.) — fala przyboju, grzywacz. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>*baptyści* — protestancka grupa wyznaniowa powstała na pocz. XVII w., akcentująca indywidualizm w relacji do Boga, uznająca Biblię za jedyny autorytet w sprawach wiary i ograniczająca praktykę chrztu (gr. *baptismos*) do osób świadomych tego aktu. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>*stopa* — dawna jednostka długości równa ok. 30 cm. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>*kacyk* — przywódca plemienny w Afryce, Ameryce Południowej lub Środkowej. [przypis edytorski]

Akema nie dał długo na siebie czekać i za chwilę stanął na wysokim skalistym przylądku, na którym pod rozłożystym drzewem czekaliśmy na niego. Objasniłem mu, po cośmy przybyli, że pragniemy wybudować kilka domów na północnej przystani wyspy i zamieszkać tam, ażeby poznać przyległe kraje, góry i to, co znajduje się poza nimi. Akema odparł uradowany, że pragnął od dawna przybycia białych ludzi na jego wyspę i że z największą gotowością odstąpi nam teren, jakiego żądamy, naturalnie w nadziei otrzymania wynagradzających podarków. Zgodziliśmy się co do takowych i tegoż dnia, to jest 23 kwietnia 1883 roku, ugoda nasza z krajowcami o wyspę Mondoleh zawarta została.

Zwiedziliśmy razem miejsce przeznaczone pod budowę stacji i oświadczywszy krajowcom, że przybędę tu z okrętem w przeciągu tygodnia, opuściliśmy tego samego wieczora zatokę Ambas, by powrócić do Fernando Poo.

Przemieszkujący jednakże w osadzie Victoria Anglik Thomson, misjonarz baptysta, za nic w świecie nie chciał się zgodzić, byśmy powracali w ten sam sposób, w jaki przybyliśmy, to jest na naszej czterowiosłowej szalupie, dodając, że niechybnie napotkamy na morza tornado, rodzaj huraganu, który by pewną zgotował nam zgubę. Nalegał, byśmy wzięli jego wielki surfboat<sup>44</sup>, i na nasze szczęście usłuchaliśmy go — nie jeden bowiem, lecz dwa silne tornady<sup>45</sup> spotkały nas w drodze. Zmoczeni ulewnymi deszczami, stanęliśmy wreszcie u burt<sup>46</sup> „Łucji-Małgorzaty” w Fernando Poo. Zostałem resztę towarzyszków podróży i załogę w dobrym zdrowiu; toteż nie tracąc czasu, ruszyłem niezwłocznie z zakupionym materiałem budowlanym, pożegnawszy Hiszpanów, do ostatniego naszego portu, zatoki Ambas i wyspy Mondoleh. Dnia 29 kwietnia „Łucja-Małgorzata” stanęła tam na kotwicy. Krajowcy z Mondoleh przybyli na pokład z wielką radością i niezwłocznie rozpięto na północnej stronie obranej przez nas wysepki pierwsze nasze mieszkanie, namiot polowy, w którym zamieszkali Tomczek i Janikowski, mający prowadzić budowę stacji. Krajowcy wzięli się zaraz do wycinania gąszczy, wtórując swojej pracy głośnym śpiewem, i na utworzony plac wylądowano przywieziony materiał budowlany. Następnie pożegnałem chwilowo dzielnych tych dwóch towarzyszków i podczas gdy oni rozpoczęli budowę, popłynąłem „Łucją-Małgorzatą” na Rzekę Kameruńską<sup>47</sup>, gdzie wylądowano przywiezione rekwizyta ekspedycji w jednej z faktorii rzeki, do wykończenia stacji na Mondoleh.

Mały, lecz dzielny nasz okręt nie był nam już potrzebny od tej chwili. Stąd miała się rozpocząć praca lądowa, trzeba się więc było z nim rozstać, choć ciężko było opuścić te pocziwe deski pokładowe, które przez kilka miesięcy niosły nas wiernie mimo burz i wiatrów po szerokim oceanie, pokazawszy nam niejednym kraj nowy i nauczywszy nas niejednego. Lecz zadanie wymagało tego. Po wylądowaniu naszych przywiezionych własności i zwiezieniu majtków, czekających na parowiec, który by ich odstawił do Europy, „Łucja” odnajęta została jednej z faktorii i zaczęła spełniać krótkie nadbrzeżne żeglugi w służbie tej ostatniej. Niestety, przeszedłszy pod władzę chytrego Niemca, który ją wynajął, dni jej miały być policzone i dzielny nasz żaglowiec, który tak długą odbył z nami podróż, rozbił się w jego rękach w drugim kilkunastomilowym zaledwie kursie.

Ciężki to był cios dla nas. Własność ruchoma była wprawdzie wylądowana, lecz nierzetelny berlińczyk do połowy tylko spełnił swe zobowiązanie co do umówionego wynagrodzenia straty. Nastąpiły smutne i ciężkie czasy, z trudem wywalczone dzieło zaczęło chwiać się już przy brzegu, a gdzież na tej ziemi, powierzonej Opatrzności jedynie, szukać sądów i domagać się sprawiedliwości?

Tu sprawiedliwość jest przy tym, kto w danej chwili jest silniejszy. Był nim wtedy ów kupiec berliński — oszukawszy nas, zaczął nawet naigrawać się z łatwowiernych Polaków, ciesząc się, iż zrobią fiasco.

Tak, byliśmy wtedy łatwowierni, powierzywszy jednemu z nich na słowo, toteż stłumiłem w sobie żółć i uczucie oburzenia, ale stłumiłem je też tylko czasowo. Kiedyś,

<sup>44</sup>surfboat (ang.) — łódź wiosłowa przystosowana do pływania na dużej, silnej fali. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>tornady — dziś popr. lm: tornada. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>bort (rzad.) — burta, bok statku. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>Rzeka Kameruńska — ob. Wouri, druga co do długości rzeka w Kamerunie, uchodząca do Zat. Gwinejskiej w Duali. Portugalczycy, którzy w 1472 dotarli do jej ujścia, z powodu wielkiej ilości krewetek żyjących w tym miejscu nazwali ją *Rio dos Camarões*, tj. rzeką krewetek; od nazwy tej pochodzi nazwa Kamerunu. [przypis edytorski]

później — szczątki „Łucji-Małgorzaty” już dawno wody zalały — przyszła chwila, gdzie przemieniły się szale, a wtedy było się mniej łatwowiernym i znało się na darach Danaidów<sup>48</sup>. Ale to nie należy do dzisiejszej naszej pogadanki.

Rzucmy dziś jeszcze okiem na brzeg, na którym staliśmy, i dokończmy budującą się stację na wyspie Mondoleh, a w następnym odczycie rozpoczniemy w tym samym miejscu wędrówkę w głąb kraju i towarzyszące tejże epizody.

Tak nazwany kraj kameruński składa się z rzeczy samej przy brzegu oceanu z trzech części: 1) z kraju plemienia Dualla, zajmującego porzecze Rzeki Kameruńskiej; jest to kraj bagnisty, pełen mangrowiowych<sup>49</sup> niskich brzegów, po części mułem i wodą zalanych, i wcale nie zdrowy dla Europejczyków; 2) z kraju Gór Kameruńskich, czyli plemion Bakwiri i Bamboko; kraj to wspaniały, istna Szwajcaria afrykańska, o zdrowym umiarkowanym klimacie; 3) z małego kraiku leżącego przy prawym ujściu rzeki Mungo, a zwanego przez Europejczyków Bimbią, przez krajowców zaś Isubu.

Każdy z tych krajów stanowi niezależną całość i posiada oddzielny język, jakkolwiek są one wszystkie do siebie zbliżone.

Dnia 19 lipca stacja nasza nareszcie ukończona została, dzielny Tomczek i wytrwały Janikowski dokazali swego, wybudowali dom silny, stosownie do zwyczaju krajowego, wynikającego z potrzeb sanitarnych — zbudowany na palach, a pokryty na zewnątrz cynkowymi płytami; drewniane zaś wiązania i posadzka były bądź z afrykańskiego dębu, bądź z tamtejszego mahoniu.

Aczkolwiek pora deszczowa znajdowała się jeszcze w punkcie kulminacyjnym, jak zwykle w miesiącu lipcu, postanowiliśmy jednakże opuścić stację, rozpocząć przygotowanie bagażu dla wymarszu w głąb i wyruszyć. Dnia 21 więc powierzyłem stację Janikowskiemu jako jej naczelnikowi i po serdecznym pożegnaniu puściliśmy się, Tomczek i ja, w drogę.

Miotaly nami najrozmaitsze uczucia, jasno zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że powinniśmy być gotowi na wszystko, wiedzieliśmy, że o kilka staj<sup>50</sup> zaledwie od brzegu oceanu będziemy na lasce i niełasce tysięcy niepojmujących nas dzikich, ale w wiernej piersi zmarłego już dziś przyjaciela tlał ten sam ogień, który mnie ożywia!; czytałem w jego twarzy jak w otwartej księdze, a mówiła to, co własna wołała ma dusza: „Wiemy, co czynimy, i nic nas nie zrazi”. Naprzód więc ruszyliśmy — stacja, dom, życie europejskie wkrótce znikły nam z oczu i wstąpiliśmy w ciemne gąszcze, pragnąc nieść dla nich pierwsze brzaski świtu!

Kolonializm

## ROZDZIAŁ II

*Rekwizyta ekspedycji. Creeki. Po Rio Mungo, sceneria brzegowa. Bakundu-ba-Nambeleh, jego kacykowie, ludność i zwyczaje. Polowanie Bakundyjczyków. Lasy bakundyjskie i ich mieszkańcy. Do jeziora Balombi-ba-Kotta. Bafula, wielki „palawer” krajowy. Bobea i katarakta Małego Mungo. Balombi-ba-Kotta. Bakundu-ba-Musaka. Widzimy Góry Rumbijskie. Z powrotem do Bakundu-ba-Nambeleh.*

W przeszłym odczycie ukończyliśmy żeglugę naszą na żaglowcu „Łucja-Małgorzata”, przybyliśmy do brzegów kameruńskich i pożegnawszy brzegi oceanu, wyruszyliśmy w głąb afrykańskiego lądu. Podążajmy więc dziś po nim naprzód w tym porządku, jaki stworzyły towarzyszące nam okoliczności.

Bagaż nasz był bardzo liczny. Wieźliśmy z sobą około osiemdziesięciu pak najróżniejszych rozmiarów, a zawierających rekwizyta nasze podróżne, broń i amunicję, najniezbędniejsze instrumenta oraz przedmioty przeznaczone dla Murzynów, bądź jako po-

<sup>48</sup>dary Danaidów — popr.: dary Danaów, odniesienie do cytatu z *Eneidy* (II 49): „Czymkolwiek to jest, obawiam się Danaów (Greków), nawet gdy niosą dary”; była to wypowiedź kapłana trojańskiego Laokoona na widok wielkiego drewnianego konia pozostawionego przez wrogów na plaży, rzekomo daru dla bogów; fraza przysłowiowa, używana zwykle bez pierwszych wyrazów, jako ostrzeżenie, żeby nie ufać wrogom, nawet kiedy działają pozornie dla nas korzystnie. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>mangrowiowe — dziś popr.: mangrove; bagna mangrowe (namorzynowe) to tropikalne przybrzeżne płycizny morskie porośnięte krzewami i drzewami, zwykle mającymi charakterystyczne, szudlaste korzenie podporowe, które stabilizują rośliny w grząskim podłożu. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>staje a. stajanie — dawna miara odległości; staje nowopolskie (XIX w.) to ok. 1000 m. [przypis edytorski]

darki, bądź jako zamiana na żywność. Te ostatnie składały się z następujących rzeczy: różnokolorowych materii, tytoniu, nożów, prochu, fuzji, krzemieni<sup>51</sup>, prętów mosiężnych i miedzianych, takichże bransolet, kolczyków, czapek czerwonych, pasków i szarf, pierścieni, tabakierek, fajek, łyżek, paciorków, naszyjników, słoików pomady itp., oraz były tam 3 wielkie parasole o średnicy 10–12 stóp, ozdobione bogato, a przeznaczone dla głównych królów. Ogólny ten bagaż ważył kilkanaście tysięcy funtów, mimo to zabrała go krajowa piroga, czółno murzyńskie wyciosane z jednego pnia; naturalnie takie olbrzymie roślinne wydaje tylko świat tropikalny.

Jedną z rzek, które tworzą zawikłane ujście kameruńskie, jest wspaniały Rio Mungo, po nim też prowadziła pierwsza część naszej drogi do krajów Bakundu. Aż do owych krajów, to jest do ich stolicy Bakundu-ba-Nambeleh, mieliśmy wioślarzy Krumanów<sup>52</sup>, najętych w Kamerunie, dalej dla drogi lądowej miałem sformować karawanę z Bakundyjczyków.

Aby wypłynąć z Rzeki Kameruńskiej na rzekę Mungo, trzeba błędzić w labiryncie *creeków*, tj. przesmyków wodnych, łączących ujścia tych rzek. Główny król kameruński, Sango-Ndumbe, czyli król Bell, dał nam przewodnika przez takowe, który z początku był równocześnie i tłumaczem.

Dziwny to widok te *creeki* wodne, przerzynające, niby sieć, ponure, monotonne lasy mangrowiowe. Jest to świat przestraszający swoją dzikością i kto nie zna Afryki zachodniej, ten nie może sobie przedstawić<sup>53</sup> takiej przestrzeni, pokrytej mokrym, fantastycznym gąszczem. Są to z wody sterczące ławy mułu, tworzące się brzegi, na których szare pnie mangrowiów i błada ich zielen sterczą dziwnie pokręcone we wszystkich kierunkach. Pnie te jednakże nie wznoszą się wprost z ziemi, nie — noszą je wysokie powietrzne korzenie, pomiędzy które spadają inne, wyrastające z gałęzi. Wszystko to razem jako całość przedstawia dla oka dziki jakiś, fantastyczny labirynt, wśród którego podczas odpływu (zwykle w *creekach* jeszcze panującego) przewijają się w szlamie i mule przez owe pień noszące korzenie węże, jaszczurki i aligatory, a rozbudzonej imaginacji przybysza zdaje się iż widzi jeden z owych zamierzchłych periodów<sup>54</sup> popopotopowych i że ukaże się lada chwila pomiędzy ohydnyymi mieszkańcami tego dziwnego świata amfibii<sup>55</sup> fantastyczna postać ichtiozaura<sup>56</sup>.

Wśród tego labiryntu posuwaliśmy się wolno naprzód. Z początku droga nie przedstawiała żadnych trudności, gdy jednakże *creek* zwęzać się zaczął i czasem gałęzie i liście sterczały w wodzie wezbranego przez deszcze *creeku* i zakrywały drogę, wtedy płynęliśmy z niezmierną trudnością, zmuszeni co chwila torować drogę długimi nożami. Nagle ujrzelśmy ją zatamowaną przez drzewo olbrzymich rozmiarów, widocznie przewrócone przez huragan, czyli tornado. Okazały ten pień był zanurzony w wodzie, a przód pirogi osiadł na nim tak silnie, iż w żaden sposób nie można było jej ściągnąć. Musieli więc wysiąść Krumani na leżący pień i przerażać takowy w połowie, by utworzyć przejście, rachując na to, że prąd je rozszerzy. Była to praca nie lada — drzewo było twarde, siekiery niewielkie, a ciemność nocy, która nas zaskoczyła, także przeszkadzały zadaniu. Wreszcie po kilku godzinach pień z trzaskiem otworzył nam drogę, gdyż prąd rzeczywiście uniósł zaraz luźną połowę. Około północy ruszyliśmy dalej, o spaniu jednak w łodzi mowy być nie mogło — moskity byłyby nam pokiereszowały ciało do niepoznania. Siedziałem więc całą noc wraz z Tomczekiem na skrzyni, paląc jedną fajkę po drugiej.

<sup>51</sup>*prochu, fuzji, krzemieni* — w dawnej broni skałkowej zapalenie prochu na panewce następowało od isker powstałych przy uderzeniu skałki (kawalka krzemienia), mocowanej w szczękach kurka, o stalowe krzesiwo; po kilkudziesięciu wystrzałach skałki zużywały się, dlatego potrzebne były zapasowe na wymianę. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>*Krumani* a. *Krumanowie* (z fr. l. poj. *krouman*) — pierwotnie Afrykanie z ludu Kru, pochodzący się z Liberii, od XVIII w. zatrudniani na europejskich statkach lub jako tragarze; później nazwą krumanów, wywodzoną z ang. *crewman* (członek załogi), określano całą kategorię społeczno-zawodową żeglarzy i tragarzy z Liberii i Wybrzeża Kości Słoniowej pracujących w służbie osadników na wybrzeżach zachodniej Afryki. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>*przedstawiać sobie* — wyobrażać sobie. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>*period* (z łac.) — okres; tu: okres geochronologiczny. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>*amfibia* — zwierzę ziemnowodne, przystosowane do życia zarówno w wodzie, jak i na lądzie. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>*ichtiozaur* (gr.: rybojaszczur) — wymarły, mezozoiczny gad morski, z kształtu przypominający rybę o długim pysku. [przypis edytorski]

*Creeki* ciągnęły się bez końca, skręcając to w prawo, to w lewo. Noc minęła i było już około dziewiątej rano, gdy wpłynęliśmy na rzekę Mungo. Powitaliśmy ją z radością, nie wiedząc jeszcze, ile trosk i ile cierpień mieliśmy przeżyć nad górnym jej biegiem.

Prąd na niej był niezmierny. Rzeka weszła przez deszcze ostatnich miesięcy, a wtedy rwąca jej powierzchnia przedstawia się majestatycznie; ale wtedy też posuwać się można po Rio Mungo jedynie prawie przy pomocy długich bambusów, toteż nacięto takowych na brzegu i wiosłowała tylko połowa Murzynów, reszta zaś popychała łódź naprzód, przeciw prądowi. Głębina rzeki była też niemała, wynosiła ona od 12 do 15 stóp, i długie bambusy zanurzały się czasami całkowicie.

Mijaliśmy osady krajowców. Około zachodu słońca zarysowały się na zachodnim brzegu długim pasem Góry Kameruńskie, gdyż płynęliśmy wzdłuż wschodnich ich skłonów, a na prawo rozciągała się pagórkowata kraina Wahpaki i Abo, dzieląca rzekę Mungo od górnego biegu Kameruńskiej. Zwykle płynie się po rzece afrykańskiej tylko we dnie, w nocy bowiem słonie, schodząc z brzegów, odbywają w niej szumne swe kąpiele, ale noce te są tak cudowne, a posuwaliśmy się tak powoli z przyczyny nieprzychylnego nam prądu, że dzięki jasnemu księżycowi korzystaliśmy z nich również.

Jakże pełne uroku były te noce mozolnej jazdy po rzece Mungo! Widok lśniącej się niby srebro wstęgi rzeki, okolonej ciemnymi konturami bujnej tropikalnej roślinności był przy tym świetle zaiste magiczny! Tomczek dostał był febry, leżał w gorączce majacząc — co chwila patrzałem z niepokojem na cierpiącego towarzysza, ale mimo to nie mogłem się zupełnie oderwać od nocnej scenerii, jaka nas otaczała, przesuając się powoli przed nami. Siedząc zadumany przy chorym przyjacielu na krawędzi naszej łodzi, puściłem myślom wodze. Czasem spoczęło oko na fantastycznych zarysach koron palmowych, których grupy niby ciemne, pierzaste chmury sterczały tu i ówdzie nad gąszczem brzegowym, za chwilę przyciągnął wzrok olbrzymi baobab, tam znów opodal stał pień wysokiej ceiby<sup>57</sup>, której tornado strzaskał koronę. Pokryły go liany i paprocie drobne, niby bluszcz z naszej północy, i stercząc pojedynczy w magicznym świetle księżycy, zdaje się kolumną ostatnią starych ruin.

Lecz tu nie ma ruin! Dokoła wycie lampartów, monotonny śpiew ptaka trębacza lub plusk rzucającego się hipopotama, podczas gdy szelest łamanych gałęzi oznajmia, iż słonie rozpoczęły swe nocne pochody. Tu nie ruiny, lecz są zaczątki! Tu nie przedzierały się nietrwale pochody Pizarrów i Cortezów<sup>58</sup> lub tych portugalskich nachodźców, którzy rozrzućili swe ślady i zamki w innych punktach tego łądu. Tu jeszcze panuje zmrok nocy, w którą czas terażniejszy pierwsze przesyła promienie świtu.

Raz zwykle na dobę zatrzymywaliśmy się: czasem dla noclegu, czasem dla zgotowania żywności, wybierając w tym celu zwykle jaką osadę lub chatę murzyńską, a jeżeli tego nie było, wtedy zastawiano kociołki pod zieloną koroną jakiego leśnego olbrzyma: bombaksu<sup>59</sup>, baobabu lub ceiby.

Tak minęliśmy kraje Mungo i Balungi szczęśliwie, w których ostatniego przed nami podróżnika, Grenfelda, wstrzymali krajowcy, nie puszczając dalej, i 18 sierpnia, po sześciu dniach żeglugi na rwącej rzece, stanęliśmy w Bakundu-ba-Nambelch, stolicy kraju tegoż imienia. Krajowcy tu już wiedzieli od kilku dni, że przybywamy, a doniósł im o tym telegraf krajowy, bęben, na którym wybijają krótkie i długie sylaby, składające rodzaj telegraficznego języka. Od etapy do etapy podają sobie oni w ten sposób wiadomości, a mają żądane informacje niezwłocznie nawet na stumilową odległość.

Tu, w Bakundu, angielskie towarzystwo niby misjonarzy, baptystów, utrzymuje stację misyjną pod dowództwem Mulata<sup>60</sup> Richardsona. W rzeczy samej jest to biedna krajowa lepianka otoczona kilkoma innymi wśród lasów dziewiczych, a rezultaty misjonarza są jeszcze bardzo słabe. W każdym jednak razie był to punkt oparcia i w owej misji bakun-

<sup>57</sup>*ceiba* (biol., łac.) — puchowiec, rodzaj tropikalnych drzew. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>*Pizarrów i Cortezów* — *Francisco Pizarro* (1478–1541): hiszpański konkwistador, zdobywca imperium Inków w zach. części Ameryki Południowej; *Hernán Cortés* (ok. 1485–1547): hiszpański konkwistador, zdobywca imperium Azteków w Meksyku. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>*bombax* (biol., łac.) — welniak, rodzaj drzew występujących w tropikalnej części Afryki, Azji i Australii. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>*Mulat* — potomek białego mężczyzny i czarnej kobiety lub białej kobiety i czarnego mężczyzny. [przypis edytorski]

dyjskiej urządziliśmy swą główną kwaterę, najawszy mieszkanie i jedną z lepienek jako magazyn dla bagażu.

Wylądowawszy więc, napisałem do p. Richardsona list, gdyż misja i stolica znajdowały się o kilka mil drogi od brzegów rzeki Mungo, że udało nam się dotrzeć do Bakundu po rzece Mungo i że prosimy go jako jedynego cywilizowanego człowieka w tym gąszczu, aby nam przysłał z sześćdziesięciu tragarzy Bakundyjczyków na brzeg rzeki dla przeprowadzenia naszego obozu do samego miasta i misji.

Rozłożyliśmy się tymczasem na brzegu, czekając na żądanych ludzi. Następnego rana przybyła oczekiwana odpowiedź, a równocześnie z nią sześćdziesięciu dziko wyglądających Murzynów. Bagaż nasz jednakże był tak liczny, iż mimo tej liczby ilość przysłanych krajowców nie wystarczyła, Tomczek więc pozostał na brzegu przy niezabranych pakunkach, a z tym, co mogłem zabrać, ruszyłem naprzód do miasta.

Przed wieczorem tego samego dnia przybył do niego z resztą ludzi i bagażu również i Tomczek.

Murzyńskie miasto Bakundu-ba-Nambeleh, do któregośmy wstępowali, leży w gęstym lesie, a może liczyć do 1500 mieszkańców. Składa się ono z długiej ulicy czworograniastych lepienek glinianych lub chat bambusowych, tworzących nieprzerwaną linię, ciągnącą się półkołem. Długą tę ulicę przerywają trzy owalne świątynie ulepione z gliny, w których odbywają się walne narady i zgromadzenia, czyli „palawary”<sup>61</sup>. Świątynie te dzielą miasto na trzy oddzielne dzielnice, z których jedna pozostaje pod bezpośrednim dowództwem samego króla kraju Nambeleh II, drugie dwie zaś pod możnymi kacykami: Namneko i Likoba. Ci dwaj są prawie niezależni przez swe bogactwa i potęgę, głównie zaś pierwszy z nich, chytry Namneko. Władza ich jest tak wielka, że w Bakundu po prostu nie mówią o jednym królu, lecz o trzech kacykach.

Na końcu miasta, oddzielone nieco od niego zaroślami, wznoszą się wśród żywopłotu, służącego za palisady, glinianki owej „misji baptyistów” p. Richardsona. Miała ona wtedy jednego prozelitę<sup>62</sup>, to jest własnego kucharza. Zajęliśmy najętą przez nas część i roztasowali się w niej.

Wkrótce zjawili się trzej kacykowie: Nambeleh, Namneko i Likoba, przynosząc nam zwykle podarunki przyjaźni, to jest trzy kury i trzy pęki plantanów<sup>63</sup>. Wyrazili swą radość z naszego przybycia, przypatrując się każdemu z naszych ruchów ciekawie i spoglądając z pożądliwością na nasz bagaż, wśród którego — wiedzieli to dobrze — znajdowały się podarki dla nich przeznaczone; zapowiedziałem im takowe na dzień jutrzejszy i kacykowie odeszli zadowoleni.

Tu zauważyłem dziwne stosunki głównego króla Nambeleh do Namneki. Król po prostu bał się tego ostatniego; trzeba było wprawdzie pierwszego wyróżnić co do ilości przedmiotów, lecz po kryjomu.

Nambeleh sam prosił o to, oświadczając, że obawia się zazdrości Namneki, który, jak twierdził, mógł w tym razie łatwo powstać wraz z Likobą przeciwko niemu. Gdyśmy więc wyruszyli następnego dnia z podarkami do miasta, wyglądały one jako trzy równe grupy przedmiotów, lecz Nambeleh był potajemnie uprzedzony, że w naszym magazynie znajdują się oddzielne „skarby” dla niego.

Każdą z tych grup składały następujące przedmioty: 30 łokci niebieskiej materii, 30 czerwonej i 15 różnokolorowej, 10 głów tytoniu, czerwona czapka, naszyjnik, para bransoletek mosiężnych, pierścień, dwie fajki, tabakierka i szarfa czerwona. Dla Nambelehgo zaś miałem w ukryciu oprócz tego czerwony flanelowy kostium wyszywany, jedwabną haftowaną czapkę, pistolet i jeden z owych wielkich parasoli. Kacykowie zdawali się wielce zadowoleni, Nambeleh zaś przybył jeszcze późno wieczorem do nas, by, jak się wyraził, „choć spojrzeć na skarby, jakie mamy dla niego osobno”, lecz które miał otrzymać wte-

<sup>61</sup>palawer (ang. *palaver*, z port. *palavra*: słowo) — w Afryce Zachodniej: zgromadzenie mieszkańców wioski w celu naradzenia się lub rozstrzygnięcia sporów; długie rozmowy pomiędzy osobami różnych kultur, np. pertraktacje między europejskimi kupcami, odkrywcami, urzędnikami kolonialnymi itp., a miejscową ludnością; także: jałowa dyskusja. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>prozelita — neofita, nowo pozyskany wyznawca jakiejś wiary. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>plantan — banan warzywny, duża odmiana banana, spożywana po ugotowaniu lub upieczeniu. [przypis edytorski]



dy dopiero, gdy sformuje nam karawanę i pomoże wyruszyć bez trudności dalej w głąb kraju.

Deszcze tymczasem szalały w pełni po okolicy. Mimo to postanowiliśmy za kilka dni, nie tracąc czasu, wyruszyć w krótszą podróż, by przyzwyczaić do siebie Bakundyjczyków i poznać charakter kraju, który na północ i wschód przez nikogo przedtem zwiedzany nie był. Bakundu, a w nim kwatery nasza, miało służyć za punkt centralny, skąd w różnych kierunkach mieliśmy badać tajemnicze te strony do końca pory deszczowej, następnie wysłać ostatnie listy do brzegu oceanu i puścić się dalej przez Bayong.

Zanim jednak zaczniemy przebieg słoniowe lasy bakundyjskie, rzućmy choć okiem na wspaniały ten kraj. Teraźniejszy jego król panuje jeszcze bardzo niedawno; ojciec jego, czyli Nambelch I, zmarł albowiem dopiero w 1879 r. Była to nadzwyczaj oryginalna figurka: cztery stopy wysoki, kościsty staruszek, sięgający wiekiem najdalej w przeszłość kraju, a przez to niezmiernie szanowany przez swój lud. Gdy musiał udać się w jakąkolwiek drogę, syn jego, król teraźniejszy, brał go na plecy i niósł zgrzybiałego ojca niby dziecko. Po śmierci starego króla syn ów, noszący wtedy nazwę Ito, udał się do głównych kapłanów kraju, by objąć imię ojca wraz z panowaniem jako Nambelch II. Podróż ta trwała długo, bo przeszło dwa lata, powrócił zaś z niej niedawno. Jest to Murzyn koloru jasnoczekoladowego z niewielkim zarostem na twarzy, występowanie<sup>64</sup> zaś jego jeszcze nie zbyt pewne, nawet czasem nieco nieśmiałe, czym się różni znacznie od zazdroszczącego mu wszystkiego Namneki, krępego Murzyna średnich lat o przenikliwym wzroku i majestatycznych ruchach.

Główną potęgą pomiędzy ludem jest *kalati* (wysoka nauka, czary itd., naturalnie w pojęciu murzyńskim).

Kapłan z rzucanych muszelek przepowiada wszystko i wszystkie wydaje wyroki. Tak np. dajmy na to, że umarło pewne indywiduum w sile wieku i dość nagle. Według mniemania, musiał go ktoś zaczarować, zamiast więc pochować go stosownie do zwyczaju we własnym domu nieboszczyka (w którym po stypie familia mimo to mieszka dalej), zawijają go w liście bananowe i pędem wnoszą do lasu. Tu w miejscu ukrytym mają jakąś jamę czy szczelinę w górze (nigdy mi jej pokazać nie chciano), niezmiernie głęboką, a na spodzie której płynie strumień podziemny. W tę oto szczelinę rzucają trupa i powracają do miasta, by się dowiedzieć, kto zaczarował (po krajowemu: „kto zjadł duszę zmarłego”). Kapłan daje odpowiedź na to; od szpiegów swych dowiedział się, jakich nieprzyjaciół posiadał zmarły. Rzucając więc owe muszle lub kostki, daje kolejno wskazówki co do osoby, aż wreszcie dochodzi niby do całej wiadomości i nazywa nieszczęśliwą ofiarę — kogoś z nieprzyjaciół zmarłego. Familii nieboszczyka odpowiedź, czyli objawienie kuglarza wydaje się nadzwyczaj prawdopodobne, gdyż oznaczono nieprzyjaciela zmarłego. Ani cień powątpiewania nie nasunie się zresztą przez ślełą wiarę krajowców i chwytają wskazanego. Dwóch ludzi trzyma mu głowę, podczas gdy kapłan wlewa mu do ust z miski drewnianej wielką ilość pewnej trucizny zwanej *sassa*, a otrzymanej z jednego z drzew. Jeżeli pacjent odda płyn ten womitami<sup>65</sup>, wtedy jest ocalony, jeżeli zaś dostanie kurczów i zblednie (co prawie zawsze następuje), wtedy rzucają go na ziemię, gdzie wkrótce kończy w kurczach i konwulsjach. Częstokroć nie czekają jego śmierci, lecz konającego wnoszą do lasu i rzucają do wyżej opisanej trupiej jamy. Ostatnie to okropne postępowanie rzucania do jamy żywego jeszcze człowieka, praktykują również, aczkolwiek teraz nie tak często, z długo i ciężko chorymi. Jeżeli kapłan wyrzeczy, że chory nie wyzdrowieje, częstokroć żywego wrzucają do owej jamy. W bardzo wielu miastach, głębiej na północo-wschód położonych, odcinają delikwentom, skazanym za czary, głowy, malują lub wędzą czaszki i wieszają je na pamiątkę u sufitu królewskiego domu.

Król despotycznie postępować nie może, ogranicza go rada najstarszych, pomiędzy którymi kapłan główną gra rolę, lecz prawo ogłoszone przez króla publicznie, trzykrotnym wołaniem, staje się święte! Tak np. od dawna jest zabronione w Bakundu jedzenie kur, jedzenie nawet innych potraw gotowanych w jednym naczyniu z kurą. Tylko królowie i nader nieliczna garstka „wybitnych osobistości” mają do tej potrawy prawo, inny zaś śmiertelnik przypłaca przekroczenie tego przepisu głową.

<sup>64</sup>występowanie — tu: wystąpienia publiczne. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>womity — wymioty, torsje. [przypis edytorski]

Za kradzież naznaczone są trzy różne kary: po raz pierwszy tłuką złodziejowi garnki i naczynia w domu, po raz drugi zabierają jego kozy, drób i krowy (jeżeli takowe posiada), po raz trzeci zaś dodają do tych kar inną: odcinają ucho lub sprzedają do niewoli. Niewolnictwo jest tu w ogóle w pełnym rozkwicie, jednakże los niewolników nie jest tak czarny, jakby się wydawać mogło. Spowodowało je lenistwo krajowców, którzy pracować nie lubią, by więc mieli ramiona niezbędne do hodowania koki, jamsu<sup>66</sup> i plantanów, zatrzymują po wojnie szczęśliwej jeńców lub skazują na niewolę przestępców. Zresztą bardzo często zbiegi z innych stron sami oświadczają się niewolnikami tego lub owego bogatszego krajowca, by uniknąć prześladowania ze strony plemienia, z którego zbiegli. Niewolnicy ci nie mieszkają w miastach, lecz należący do pewnego miasta kontyngent ich zabudowywa<sup>67</sup> się zwykle o jaką milę lub pół mili obok niego i tworzy niewolnicze miasto metropolii, nazywające się *baku*.

Żony swe kupuje Bakundyjczyk i wielka ich ilość oznacza stopień dostojeństwa i bogactwa męża. One gotują pokarm i odpowiadają za żywność roślinną, to jest: obowiązane są wraz z niewolnikami hodować potrzebne dla murzyńskiego stołu jarzyny, jako to: jams, kokę, plantany (niesłodkie banany), bataty<sup>68</sup> i czasem kukurydzę. Mążonek zaś ogranicza swą czynność na wyrabianiu i picciu wina palmowego, oprócz tego powinien on dostarczać potraw mięsnych przez polowanie. Polowania te są odmiennej natury, niż widziałem gdzie indziej. W tym celu zbiera się zwykle pewna część miasta lub nawet całe miasto z sieciami, po 20–30 łokci długimi, a zwanymi *jotto*. Wiązą je sami z włókien palmowych, gdyż są w ogóle dobrymi powroźnikami. Tymi sieciami obciągają pewną część zarośli, a gdy tego dopełnią, połowa myśliwych wchodzi w okolone miejsce, część zaś kołem stoi przy sieci z zewnętrznej strony; wszyscy uzbrojeni w długie, tanie skalkówki<sup>69</sup>, malowane na czarno, a otrzymane to z Kamerunu, to z Kalabaru. Następnie rozpoczyna się wrzawa iście piekielna celem płoszenia zwierzyny znajdującej się w kole, gdy zaś takowa się rozbieży i podejdzie do sieci, wtedy zwięzają koło i przestraszoną zwierzynę zabijają to fuzjami, to nożami, lub też dzidami myśliwych zewnętrznych. Zdobyć taka jest nadzwyczaj pstrą; składają ją lamparty, antylopy, dzibu (rodzaj jelenia o jednym rogu), koty dzikie, małpy, jeże wielkie, mrówkojady, olbrzymie jaszczurki, mające do pięciu stóp długości (iguany), węże itp.

Z tryumfem znoszą to do miasta i wraz ze skórą rąbią na kawałki. Każdą część piersiową otrzymuje król, głowę odpowiedni strzelec, resztę zaś dzielą na równe części pomiędzy sobą, gotując świeżo lub wędząc w pudełkach związanych z bambusu, a zawieszonych ponad ogniskami chaty. Głównymi specjałami są wąż i pies; z każdego zwierza jedzą wszystko, nawet skórę i flaki.

Ubiór Bakundyjczyków stanowi kawał z brzegów otrzymanej materii, następnie długi nóż w drewnianej pochwie oraz obrączki, bądź ze słoniowej kości, bądź z miedzi lub żelaza, a zawieszone na rękach i nogach. Ciało przy tym smarują olejem palmowym, wyrabianym wyłącznie w tym celu, a nazywanym *manyanka*. Do jedzenia wyrabiają z palmy olejnej dwa inne rodzaje oleju: zwykły czerwonawy olej palmowy, zwany tu *mossua*, i lepszy, oczyszczony gatunek, tak zwany *ndzawi*.

Tak przedstawiają się główne zarysy krajów Bakundu. Poznamy je zresztą dalej, podczas podróży po tych krajach, których wspaniała przyroda zaczyna budzić się ze snu wieków.

Nikt w Europie nie oceni należyście tego kraju, bo nikt w nim nie był *in extenso*<sup>70</sup> i nie poznał jego wielkich bogactw i uroczej piękności.

<sup>66</sup>*jams* — pochrzyn, rodzaj wieloletnich pnączy z bulwiastymi kłęczami, rosnący dziko i uprawiany ze względu na jadalne bulwy w Afryce Zachodniej oraz w Azji pd.-wsch., w Ameryce Południowej i na Karaibach. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>*zabudowywa* — dziś popr.: zabudowuje; tu daw.: zagospodarowuje się, pobudowawszy domy. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>*batat* — roślina uprawna o bulwiastych, mączystych korzeniach, uprawiana w strefie tropikalnej. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>*skalkówka* — strzelba skalkowa, długa broń palna z zamkiem skalkowym, ładowana od strony lufy, używana od XVII w. do połowy XIX w.; po naciśnięciu spustu broni kurek ze skalką (kawałkiem krzemienia) opadał na metalową płytkę, krzesząc iskry, które padały na panewkę z prochem, zapalając go. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>*in extenso* (łac.) — w całości; dokładnie, bez opuszczeń. [przypis edytorski]

Długą wstęgą ciągnie się przez jego niezgłębione lasy, bystry Rio Mungo, otrzymujący liczne przypyły, a tworzący do pierwszych swych progów, znajdujących się w Eliki, wschodnią jego naturalną granicę. Z północy ogranicza go odkryte przez nas jezioro Balombi-o-Mbu, czyli jezioro Benedykta, tak nazwane na cześć hr. Benedykta Tyszkiewicza, dalej zaś Rio del Rey i góry Rumbi, aż do granic kraju Mbomboko.

Przestrzeń tę ziemi, pokrytą ciemnymi lasami ciągnącymi się to w dolinach, to po skłonach górzystych, przerzyna jeszcze drugi potok, rwący się z katarakty w kataraktę, a jest to odkryty przez nas Mały Mango.

Roślinność jest wszędzie zdumiewająca. Palmy wszelkich rodzajów, drzewa bawełniane, bombaksy, hebany, drzewa gumowe splatają liany kauczukowe, niby lina bez końca rzucona w te gąszcze, podczas gdy poniżej falują olbrzymie paprocie i najróżniejsze inne kryptogamy<sup>71</sup> lub trawa, dosięgająca 10–12 stóp wysokości.

To morze zieleni ożywia bardzo liczny świat zwierzęcy, począwszy od stad słoni, których tu jeszcze prawie nie straszyl huk strzału człowieka, a które w nocy zalewają gąszcze swymi masami, aż do małp, lampartów i najróżniejszych odcieni antylop i jeleni. W co jednak obfituje ta przestrzeń, są to płazy i owady najróżniejszych form, częstokroć ohydne, lecz ciekawe potwory, tak liczne, że stanowią po prostu ujemną stronę obrazu.

Goryl i szympanś istnieją również w tych lasach, gdyż widziałem ich kości i czaszki, lecz całego lub żywego napotkać mi się nie zdarzyło. Trudno nawet niezmiernie otrzymać zabitego od krajowców, gdyż uważają mięso jego za specjal i zwykle gdy dawano nam znać o przyniesionej takiej lub owakiej zwierzynie, zastawialiśmy ją już porąbaną wraz ze skórą i czaszką.

Tak wychodziliśmy co rano w lasy, by zapoznać się z krajem i jego głównymi rysami. Fuzja ubiła czasem jaką zdobycz niestraconą, lecz w ogóle okazy te były nieliczne, gdyż ginęły w gordyjskim węźle<sup>72</sup> bujnej roślinności, a że król Nambeleh wybierał się za dni kilka do jednego z krajów położonych na północo-zachód od Bakundu, a mianowicie do Bafuli, gdzie miał zagaic ważny palawer (sprawę), więc postanowiliśmy w ten sam dzień rozpocząć i naszą pierwszą podróż po kraju i wyruszyć z nim razem.

Zaprojektowano obrać na tę pierwszą ekskursję<sup>73</sup> jezioro Balombi-ba-Kotta<sup>74</sup>, odkryte przez Combera<sup>75</sup> w 1877 r. i zachodnią stolicę kraju, Bakundu-ba-Musaka, a przy tym poznać charakter Bakundyczyków jako tragarzy, gdyż kwestia tragarzy jest tą, o którą rozbija się niejedna ekspedycja. Wcześniej więc 28 sierpnia wyruszyliśmy z Bakundu, udając się w kierunku północno-zachodnim ku lasom, które otaczają każde murzyńskie miasto. Miasta te są w ogóle niby oazami wyciętymi w gąszczu dziewiczym, który od zachodniego brzegu ciągnie się daleko w głąb.

Dzień był pogodny, deszcze ustały chwilowo i przywitałem się z wychodzącym ku nam Nambeleh, gotowym do drogi i promieniejącym w w świątecznym stroju. Lewą połowę głowy miał ogoloną, co oznaczało, że wychodzi na ważny palawer, czerwona koszula — nasz podarek, i kawał niebieskiej materii zarzucony wokoło bioder, czapka wyszywana i podarowana mu przez nas, sygnet z wielkim niebieskim kamieniem, na który spoglądał z widocznym zadowoleniem, tworzyły ubiór bakundyjskiego władcy.

— *Okòpi bakùtu Nàmbeleh?* (czy masz ludzi Nambeleh) — zwróciłem się do niego.

— *! Sango, tata-ango* (Tak, panie patrz tu) — i wskazał mi przygotowanych tragarzy; dano im więc przeznaczone ciężary bagażu i ruszyliśmy w drogę.

Teraz wstępujemy w lasy dziewicze, z których nawet echo nie połączy nas ze światem cywilizowanym.

<sup>71</sup>*kryptogamy* (bot.) — rośliny skrytopłciowe (zarodnikowe), niewytwarzające kwiatów, rozmnażające się głównie przez zarodniki. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>*gordyjski węzeł* — przen. skomplikowany problem, trudna do rozwiązania sprawa; bardzo splątany węzeł zawiązany przez mitycznego króla Gordiosa w świątyni Zeusa w mieście Gordion w Azji Mniejszej, łączący jarzmo ofiarnego wozu z dyszlem; przepowiednia głosiła, że człowiek, któremu uda się rozwiązać węzeł, zostanie władcą całej Azji; Aleksander Macedoński przeciął węzeł mieczem. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>*ekskursja* (przestarz.) — wycieczka, wyprawa. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>*Balombi-ba-Kotta* — dziś: Barombi Koto a. Barombi-ba-Kotto, niewielkie jezioro w łańcuchu wulkanicznym w pld.-zach. Kamerunie, z małą wyspą pośrodku, zamieszkaną przez rybackie plemię Barombi. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>*Comber, Thomas James* (1852–1887) — misjonarz-baptysta, aktywny w Kamerunie i w Kongu. [przypis edytorski]

Były one z początku nie tak zaplątane, lecz wkrótce nastąpił dziki zmrok gęstwin, wśród których drogę stanowiła wąziutka, ledwie dostrzegalna ścieżka, wydeptana przez krajowców. Co chwila trzeba było przeskakiwać przez sterczące korzenie i wywrócone pnie, a mnóstwo rzeczek wezbranych z przyczyny pory deszczowej zmuszało nas często brodzić wyżej kolan w wodzie; przepływały one lasy we wszystkich kierunkach, to dążąc do Mungo, to w przeciwnym kierunku, do Rio del Rey.

Wreszcie około czwartej po południu stajemy w Bafuli, przeszedłszy około dwudziestu kilometrów. Widok miasta, czyli raczej wioski murzyńskiej, nosił tę samą cechę, tylko w mniejszym daleko stopniu, jak Bakundu-ba-Nambeleh. Po obu stronach szerokiej ulicy stały rzędy chatek glinianych lub bambusowych, w pośrodku zaś słup z nieforemnie wystruganą głową ludzką, a przy nim dom kacyka. Dano nam zaraz do rozporządzenia jedną z chat, naokoło której zgromadziła się znaczna liczba zdumionych krajowców, przypatrujących się rozbiciu naszego obozu.

Roztasowaliśmy się spokojnie na kołdrach, rozwiesiwszy odzienie i buty nad ogniem dla osuszenia i przyjąwszy kacyków, przynoszących podarki: kury i banany, przebraliśmy się nareszcie, gdyż liczne rzeki, któreśmy przebrnąć musieli, błoto, bagna i deszcz, który nas spotkał, przemoczyły nas do ostatniej nitki. Rozpakowano więc kociołki i wkrótce w nich zaszumiało. Po dziennym marszu, po trudach drogi wita tu podróżnik najprostszą wieczerzę, zwykle kurę lub kozę gotowaną z jamsem lub plantanami w oleju palmowym, jak nie wita najpyszniejszego obiadu w Europie, po czym z prawdziwą rozkoszą myśli o nocnym spoczynku i mimo niesfornych sąsiadów świata zwierzęcego zasypia, zapaliwszy ognisko, i śpi spokojnie do rana.

Nazajutrz o wschodzie słońca doniesiono, że ludność Bafuli zgromadza się na ów wielki palawer, dla którego przybył tu król Nambeleh. Bakundyjski kacyk przyszedł nas prosić, byśmy koniecznie przybyli na zgromadzenie, posłaliśmy więc, by poznać charakter zebrań i sądownictwo tych stron.

Zastaliśmy kilkunastu Murzynów siedzących w chacie kacyka Bafuli. Była to starszyzna spierających się partii, poza nimi zaś siedziało kilkudziesięciu Murzynów, rozdzielonych na dwa obozy.

Jeden ze starszyny powstał i zagaił posiedzenie trzykrotnym okrzykiem, zwracającym uwagę obecnych. Na każdy taki okrzyk odpowiadali wszyscy jednogłośnie: „I!” (tak!), po czym mówca wyłożył kwestię, o którą toczy się spór. Otóż niedawno temu Bafula obchodziła ważną uroczystość swego *dżudzu* (świętości). Zaproszone były wszystkie miasta sąsiednie, a między innymi stolica bakundyjska, Bakundu-ba-Nambeleh. Gdy gry, zabawy i tańce minęły, ukradło kilku Bafulczyków przybyłym Bakundyjczykom kilka „drogocennych ubiorów” (prawdopodobnie czerwonych flanelowych koszul).

Powróciwszy więc do siebie, Bakundyjczycy wysłali posłańców do Bafuli, żądając skradzionych rzeczy. Lecz Bafulczycy nie przyznali się do niczego; przeciwnie, zbili posłańców i odesłali ich z powrotem, odebrawszy im fuzje, tj. pozbawiając ich nawet możliwości bronienia się od napadu słonia podczas powrotu przez lasy. Rozgniewani tym Bakundyjczycy po kryjomu wysłali krajowca do Bafuli z fuzją i kazali mu zastrzelić ukradkiem bafulijską krowę, po czym kwestia doszła do takich rozmiarów, że nastąpił „palawer”.

Po tym wykładzie były liczne przemowy każdego z kolei, zwykle pełne ustępów nie należących wcale do sprawy, a każdy w końcu swej mowy zaczynał tańczyć i naśladować ruchy i głos jakiegoś z dobrze znanych zwierząt, by wzbudzić śmiech i pozyskać ogólną sympatię zebranych dla siebie. Olbrzymi król Bobei zaczął przedrzeźniać słonia, i to tak trafnie, że nawet my, biali, nie mogliśmy zachować powagi, lecz musieliśmy się rozśmiać, co powitano ogólnym głośnym okrzykiem radości.

Kilka godzin ciągnęła się w ten sposób sprawa, mówiono o tym i owym, wszyscy już kilkakrotnie przemawiali, aż wreszcie udecydowano, że to dzień niepomyślny na naradę i że za tyle a tyle dni rozpoczną sprawę na nowo. Ucinają wtedy patyki długości stopy, tną każdy na drobne kawałki, odliczają po tyle drewniek, ile dni ma upłynąć do oznaczonego następnego palawru, każdy z obecnych otrzymuje wiązkę taką i sesja skończona. Z patyków tych, a raczej z pociętych drewniek, co wieczór łamie się jeden, a gdy złamany ostatni — znowu kacykowie wyruszają do Bafuli na palawer.

Gdyśmy wyszli z domu obrad, byliśmy temu niezmiernie radzi, dłużej albowiem trudno było wytrzymać w cuchnącej chacie, gdzie atmosfera stała się nieznośna. Wielce jednak

podziwiać tu musiałem spokój i porządek, z jakim odbywają się te palawry. Nie ma tu ani zamieszania ogólnych, ani gwałtów; mówi jeden, prawda, że z najdziwaczniejszą i najwyższą gestykulacją, lecz nikt mu nie przerywa, dopóki nie skończy; cała zaś reszta siedzi poważnie i słucha jego mowy, choćby była kilkugodzinna.

Posłałem po palawrze obu partiom, gawędzącym teraz o rzeczach innych i zachowującym się najspokojniej, nieco tytoniu, co wprawiło wszystkich w najlepszy humor. Zabito kozę, przysłano nam z niej ćwiartkę jako podarek, a przy uczcie zgotowanej z olbrzymiej ilości plantanów, koki, jamsu i oleju palmowego przesuwano się na placu przed słupem, przy świetle luczycy, czarna masa biesiadujących. Do późnej nocy rozlegała się piekielna ich muzyka, krzyki i tańce.

Następnego dnia, 30 sierpnia, wyruszono w dalszą drogę. Nambelah, dotrzymując danej obietnicy, odprowadził nas do Bobei, następującej murzyńskiej osady. Droga wiodła przez plantacje krajowców, pomiędzy rozrzuconymi chatami bambusowymi, a w jednej z nich czekał na nas olbrzymi kacyk Bobei z niewielką karawaną, by nas przeprowadzić do swego miasta. Czarni powitali się, obejmując się podług krajowego zwyczaju prawym ramieniem i przyciskając pierś do piersi, następnie wszystko ruszyło dalej. Herkulesowy kacyk szedł naprzód. Wielkimi krokami przekraczał wystające korzenie, opierając się na długim hebanowym kijku. Za nim ciągnęła się długa linia tragarzy, wreszcie my dwaj biali, a zamykał karawanę Nambelah, zmuszony, jak zwykle ostatni w pochodzie, nieco się spieszyć i prędzej wywijać nogami i kijem.

Kierunek był prawie północny, droga po przejściu plantacji znowu ciągnęła się przez lasy, atoli przerzedzone tu przez słonie. W jednym miejscu zauważyliśmy kilkanaście kamieni, widocznie poustawianych ręką ludzką wokoło; była to połowa odległości między Bafulą a Bobeą, czyli ich granica. Nasz Herkules się odwrócił i wskazując ręką kamienie, rzekł dumnie: „*Mukara anga ajo ekumbe ba Bobea*” (biały człowiek jest na ziemi Bobei). „*Aloli!*” — zawołałem (piękna ona), co przyjęli Bobejczycy okrzykiem radości i wesołości, śpiewając do samej Bobei. Rozłożono się tu jednak na chwilę, aby zaraz wyruszyć do jeziora Balombi-ba-Kotta, mającego w pośrodku wysepkę, jak mi mówiono, gęsto zaludnioną. Dzikość jej mieszkańców miała być przyczyną, że odkrywca tego jeziora, Comber, nie mógł wymóc na swych ludziach, by udali się z nim na wysepkę, wskutek czego angielski podróżnik zwiedzić jej nie mógł. Wybieraliśmy się więc do Balombi-ba-Kotta, by uzupełnić znajomość jeziora przez zwiedzenie samej wyspy i jej mieszkańców. Nambelah tu nas opuszczał, by udać się do pewnej górnej osady Ikaty, ale prosił, byśmy choć na chwilę weszli do domu kacyka Bobei, aby go nie obrazić.

Weszliśmy więc do jego chaty. Głośny szum oznajmiał bliskość jakiejś rzeki, przez którą musieliśmy odbyć za chwilę nader trudną i oryginalną przeprawę. Wnętrze chaty kacyka nie różniło się prawie niczym od domów Bafuli; w pośrodku stał filar szeroki obwieszony różnymi talizmanami, a mianowicie: małpimi i kozimi czaszkami, rogami antylopy, bębenkami, okopconymi i wydmuchanymi jajami, kośćmi itp., na ziemi zaś przy filarze leżała olbrzymia szczeka słonia, otoczona dzidami, nożami i drewnianymi słupkami wbitymi w ziemię. Przyjęliśmy zwykły podarunek przyjaźni, za co kacyk otrzymał kilka drobnostek i ruszono w dalszą drogę. Cała ludność podążyła za nami. Szmer, słyszany przy wejściu do miasta, stawał się z każdą chwilą głośniejszy, przechodząc w końcu w głuchy łoskot, a gdyśmy uszli ze czterysta kroków, przedstawił się nagle wspaniały widok.

Drogę wiodącą na północo-wschód przerzynał majestatyczny wodospad. Na szerokości sześćdziesięciu kroków zrzucił Mały Mungo, szumiąc i sycząc, swe bystre wody pomiędzy skałami w ciemną głęboką otchłań. Grupa skał sterczała w pośrodku wodnej tej krawędzi, po której trzeba było przejść tuż nad przepaścią mimo pędzącej na dół wody, gdyż wyżej rzeka była głęboka, a mostów tu nie ma; zwinny krajowiec woli, nie dbając o los swój, przepawić się w ten sposób, niż pomyśleć o czymś podobnym do mostu. Perspektywa tej przeprawy przedstawiła nam się nie bardzo zachęcająco, lecz Nambelah z bobejkim kacykiem i innymi Murzynami schwycili się za ręce, wchodząc wyżej w głębszą wodę, im podaliśmy ręce, podchodząc ku krawędzi, i ciągnięni w ten sposób przeciw prądowi, by fale nie stoczyły nas na dół, przeszliśmy na drugą stronę. Tak samo przepawiono tragarzy, a gdy wszyscy stanęli szczęśliwie na przeciwległym brzegu, pożegnał nas jednogłośny okrzyk krajowców zebranych na skałach od strony miasta. Podziękowaw-

szy przyjaznym dwóm kacykom, którzy dali nam jeszcze przewodnika, zaczęliśmy dalszy marsz przez gęsty las do jeziora.

Droga była straszliwa! Rozmiękła przez ulewy ziemia zamieniła się w jedno wielkie bagno, w którym częstokroć zapadaliśmy się po kolana, a co chwila trzeba się było przeprawiać przez rzeczki wezbrane w niejednym miejscu. Ziemia czasami nie wytrzymała stopy ludzkiej, a wtedy trzeba było korzystać z przewróconych przez słońce drzew. Ubrania przemieniły się w łachmany, a cali byliśmy pokryci błotem i mułem.

Nikt tu z pewnością nie pojmie, jakie czasem podróżnik odbywać musi w tych lasach przeprawy: tu, w tych dzikich, jakby od świata oderwanych kniejach, gdzie niczym niehamowana przyroda to piętrzy olbrzymie barykady, to znów ryje bagna i jary, a gdzie mimo raniących gałęzi i kolców pośpiech jest konieczny, by się nie spóźnić, nie być zaskoczonym przez noc w tych otchłaniach i oddanym na pastwę trujących pochodów dzikich olbrzymów leśnych słoni. Krajowcy truchleją na samą myśl takiego położenia, gdyż podczas nocy lasy te formalnie poruszać się zaczynają i z gęszczy zdają się wyrastać całe masy czworonożnych potworów.

Wreszcie, dobrze jeszcze przed zachodem słońca, owiał nas przyjemny chłód, drzewa się przeredziły i zarysowała się przed nami obszerna płaszczyna wodna. Było to jezioro Balombi-ba-Kotta. Leży ono w głębokiej kotlinie, do której zejście jest strome niemal prostopadłe, w środku zaś zarysowała się trójkątna wyspa, pokryta zielenią i usiana licznymi chatami krajowców.

Gdy w 1877 r. przybywał tu Comber, kobiety pracujące właśnie nad brzegiem jeziora uciekły, przestraszone widokiem białego człowieka.

Od owego czasu jednakże dzieliło nas wtedy sześć lat i krajowcy oswoili się tymczasem z myślą o białych.

Spuściliśmy się do kotłownicy<sup>76</sup>, to jest do brzegu jeziora, na plecach, gdyż grunt był tak śliski z powodu deszczu, że było nadzwyczaj trudno zejść bez trzymania się rękami o wystające kamienie; a napotkany krajowiec, którego zadziwienie wkrótce ułagodzone zostało kilkoma liśćmi tytoniu — dobrze znanego mu przedmiotu — sprowadził nam kilka czółen krajowych dla przeprawy na wyspę.

Jezioro przedstawiało się w kształcie jaja, którego wielka oś ciągnie się mniej więcej podług południka. Z wysokich brzegów, otaczających go niby żywe zielone ramy, wpadały z dwóch stron strumyki, które atoli w porze innej wysychają, o ile mi się zdaje, a zwierciadłana powierzchnia kilku mil kwadratowych wodnej przestrzeni odbijała malownicze kontury okalającej brzegi panoramy. Przystań wyspiarskiej osady znajduje się z zachodniej strony wysepki; grzebień górzysty dzieli takową na dwa skłony, po nim zaś ciągnie się miasto w kształcie litery T.

Zachowywanie się krajowców było z początku bardzo dwuznaczne — wbrew zwyczajowi nie zastaliśmy żywej duszy w przystani, za to w pewnym oddaleniu widać było całe mrowisko Murzynów patrzących na nas z niedowierzaniem. Czarny nasz tłumacz Richard-Aqwa, nienależący do zbyt odważnych, doznał silnego bicia serca i nalegał, byśmy wrócili. Biedak nie wiedział, że w takich chwilach spokój i pewność siebie wygrywiają jedynie batalię. Tomczek objął straż nad rzeczami, a sam, wzięwszy przestraszonego tłumacza w kluby<sup>77</sup>, ruszyłem pod górę na ulicę miasta. Przeszliśmy pierwszą jej część. Domy zastałem zamknięte, a z nich wyglądały trwożliwie przez szpary kobiety, dalej jednak stali zebrani mężczyźni z dzidami, pełni oczekiwania, a wkrótce zostaliśmy otoczeni tłumem czarnego ludu.

Zapytałem się o króla, lecz mało rozumiano tłumacza, choć tenże władał dwoma krajowymi językami, to jest dualla i bakundyjskim. Krajowcy ci widocznie nie należą do żadnego z sąsiednich plemion, lecz przybyli kiedyś z daleka. Widziałem wyraźnie, że nie byli nam bardzo przychylni, a w każdym razie chwiali się co do sposobu przyjęcia nas, lecz na szczęście zanotowałem sobie przedtem w Bafuli imię króla, a gdym wyciągając po przyjacielsku ramiona, wykrzyknął takowe, tj. „N-Dungo!” — można było zauważyć ogólne zdziwienie na twarzach i niebawem zbliżył się do mnie otyły Murzyn, czyli zawołany kacyk. Podaliśmy sobie po przyjacielsku rękę, lody były przełamane i powita-

<sup>76</sup>kotłownia (daw.) — kotlina. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>wziąć w kluby (daw.) — zdyscyplinować, skłonić do posłuszeństwa. [przypis edytorski]

ła nas reszta ludności okrzykiem przyjaźni, podczas gdy znakomitsze osobistości miasta podchodziły kolejno, imitując moje powitanie z kacykiem, to jest podając ręce.

Tymczasem nadszedł Tomczek z ludźmi i bagażem, gdyż był niespokojny o nas, czekając dość długo na brzegu, i wszyscy razem przyjęliśmy chętnie zaproszenie kacyka N-Dungo, wskazującego ręką swą siedzibę, i weszliśmy do obszernego jego domu. Za nami zaczęła cisnąć się ludność, porwana prądem ciekawości tak, że wkrótce drzwi nasze zaległo około tysiąca głów. Budynki są tej samej formy i budowy, jak w Bobei i Bafuli, tj. bambusowe o jednej izbie, mającej stałe ognisko po obu przeciwnych końcach, a ponad takowymi skrzynki bambusowe zawieszane jako wędzarnie.

Podczas jednakże gdy Bakundu-ba-Nambeleh, Bobea i Bafula posiadają niewolników, Balombi-ba-Kotta nie zna niewolnictwa zupełnie; dom zaś obrządków religijnych i talizmany zawieszane w chatach są te same, jak i w innych wspomnianych miastach.

Ohydna droga znużyła nas nad wszelkie pojęcie, toteż z radością powitaliśmy wielką kalabaszę wina palmowego, którą N-Dungo postawił przed nami, zajmując się przyrządzeniem wieczery — kury z koką w oleju palmowym.

Na gościnność więc w Balombi-ba-Kotta nie mogliśmy narzekać i wręczyliśmy kacykowi podarki nasze: dwa jardy<sup>78</sup> materii niebieskiej, tyleż czerwonej, łyżkę, tabakierkę, trzy głowy tytoniu, naszyjnik, czapkę czerwoną i fajkę. Kacyk był bardzo zadowolony, prosił, by namawiać białych, aby do niego częściej przychodzili, a czarna ciżba, która nas otaczała, ani myślała nas opuścić aż do późnej nocy. Musieli koniecznie zobaczyć rozbieganie się nasze do snu i przekonać się, że skóra nasza rzeczywiście jest wszędzie biała, po czym powoli zaczęli się rozchodzić, wydając okrzyki zadziwienia.

Następnego dnia zwiedziliśmy w towarzystwie kacyka wyspę. Całe to jezioro jest widocznie zapadłym kraterem starego wulkanu, niegdyś może ostatniego z pików<sup>79</sup> Gór Kameruńskich. W nim zaś również siły wulkaniczne wyniosły ową wysepkę, na której dziś leży miasto. Z północno-wschodniej jej strony u stóp grzebienia leży oddzielna osada, mająca odrębnego kacyka — liczy ona jednakże zaledwie 20 chat.

O ile się zdaje i o ile zrozumieć mogłem kacyka, są to pierwotni mieszkańcy tych stron, dziś już nieliczni.

Zakupiwszy świeże zapasy ryb i jamsu, ruszyliśmy dalej. N-Dungo oraz całe niemal miasto odprowadziło nas przez jezioro, które, jak się zdaje, obfituje w żółwie, gdyż widziałem liczne wypływające na powierzchnię okazy. Wreszcie wylądowawszy na brzegu, zniknęliśmy im z oczu w gąszczu, przez który prowadziła dalsza nasza droga do stolicy zachodniej części kraju Bakundu-ba-Mosaka.

Ścieżki, po których nas prowadził przewodnik otrzymany od kacyka N-Dungo, były również straszliwe, jak i poprzednie. Panowało i tu jedno wielkie bagno, poprzerzynane licznymi rzeczkami, wezbranymi przez deszcze i pędzącymi szybko ku Rio del Rey. Przeszedłszy dwa grzbiety pagórków, północne kontrforty<sup>80</sup> Gór Kameruńskich, ujrzeliśmy przed sobą po południu olbrzymie miasto ciągnące się niezmiernie długim rzędem od wschodu na zachód. Pierwsza jego część leżała na stoku góry, druga ciągnęła się dalej w dolinie, a poza nimi — któż opisze zaciekawienie nasze — ukazał się w oczyszczonej atmosferze wielki kompleks Gór Rumbijskich<sup>81</sup> jako potężne sine pasmo o kilku pikach. Góry te ujrzeliśmy w kierunku W-N-W, ciągną się zaś, jak się zdaje, mniej więcej podług południka. Było to Bakundu-ba-Musaka, którego ilość mieszkańców ceniliśmy mniej więcej na 2500 dusz.

Domy tu niczym się nie różnią od domów widzianych miast, panuje tu jednakże dobrobyt większy niż w stolicy wschodniej, tj. w Bakundu-ba-Nambeleh, a sprawa to bliskość Starego Kalabaru<sup>82</sup>; mnóstwo krów, kóz, baranów i kur można było wszędzie zauważyć. Stary król Musaka przyjął nas bardzo gościnnie; zabito kozę, którą ugotowano w oleju palmowym. Lecz o ile mogę chwalić poczciwego Musakę, niemającego niestety wiele wpływu wśród mieszkańców miasta, o tyle ci ostatni zasługują na najgorszą repu-

<sup>78</sup>jard — anglosaska miara długości, równa trzem stopom i wynosząca ok. 0,9 metra. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>pik (daw. geogr.; z fr.) — szczyt górski. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>kontrfort (z fr.) — mur poprzeczny, umacniający mur główny. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>Góry Rumbijskie — dziś: góry Rumpi: ang. *Rumpi Hills*, fr. *Monts Rumpi*. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>Stary Calabar — dawna europejska nazwa miasta Calabar w Nigerii, nad rzekami Calabar i Great Qua. [przypis edytorski]

tację. Są oni przybyszami w tych stronach, gdyż kraj to właściwie już nie bakundyjski, lecz nazywał się pierwotnie Baczi.

Dzisiejsi mieszkańcy miasta — a przynajmniej większa ich część — przybyli niegdyś z Bakundu-ba-Nambeleh wskutek wojny domowej, jak mówi podanie, a że przewodniczący wychodźcom nazywał się Musaka (imię, które po nim przyjęli jego następcy), nazwano więc miasto wybudowane na skłonie Bakundu-ba-Musaka; do dziś dnia jednak dolna jego część nazywa się jeszcze Baczi. Niewolnictwa nie ma i tu. Wszyscy są wolni, a nawet posunęli się tak daleko, że z władzy króla Musaki pozostał już dziś cień tylko — są oni przy tym chytry, leniwi i zuchwali nad wszelkie pojęcie.

Widząc, że Góry Rumbijskie tak bliskie, ogarnęło nas pragnienie dotarcia do tajemniczych, nigdy niezwiędzanych wyżyn, lecz nikt z krajowców nie chciał pójść z nami jako przewodnik. Wtedy chciałem ruszyć ku nim bez przewodnika za pomocą busoli, lecz tu krajowcy — nie chcąc, byśmy tam w ogóle poszli — podszczuli naszych tragarzy, opowiadając im dzikie bajki o duchach i potworach zamieszkujących tajemnicze góry. Widząc więc, że na ten raz nie będzie możliwe urzeczywistnić w drodze powstały plan, odłożyłem go na później i zaczęto drogę powrotną do Bakundu-ba-Nambeleh. Droga ta wiodła nas po części przez nowy teren, gdyż nie chciałem wracać zupełnie tą samą. Obraliśmy ją więc nieco więcej południowo, przecinając północne podnóże Gór Kameruńskich. Ścieżki tu wprawdzie były surowsze, gdyż prowadziły po skałach i kostkach bazaltu lub lawy, lecz za to nie brnęliśmy ciągle w bagnach i błocie.

Dochodząc do małej osady murzyńskiej zwanej Okuka, spostrzegliśmy nagle wolną od lasów płaszczynę, pokrytą wysoką (na 10–12 stóp) i ostrą trawą — tylko z rzadka tu i ówdzie wznosiła się wysoka palma kokosowa. Było to wyschłe od dawna jezioro, po którym pozostał tylko kocioł, owo wklęsnięcie płaskie pokryte trawą. Jezioro to musiało być niegdyś wielkości właśnie zwiedzanego Balombi-ba-Kotta. W późniejszych podróżach przekonałem się, że takie wyschłe jeziora napotyka się<sup>83</sup> częściej i że w ogóle kraje te co do powierzchni ziemi w ciągłym znajdują się stanie przetwarzania.

Przeszedłszy jeszcze przez nieznaną dotąd miastą Musambe, Munjungi i Dyebo i nocowawszy w pierwszym, dotarliśmy znów do katarakty Bobei i przeprawiwszy się przez nią, stanęli wreszcie w Bakundu-ba-Nambeleh w naszej głównej kwaterze.

Lecz ostatni dzień drogi dał nam się jeszcze we znaki. Ustawiczny deszcz przemoczył nas do szpiku kości, tak że gdyśmy przy Małym Mungo się zatrzymali dla posiłku, ulewa zalewała nam talerze, przemieniając zawartość ich w wodę podczas jedzenia; sam Mały Mungo zaś tak wezbrał, iż mimo to, że przeniesiono nas na barkach murzyńskich, brnęliśmy jednak po pas w wodzie.

Lecz Bogu dzięki wyszliśmy z tego marszu bez szwanku, z doświadczenia zresztą mogą powiedzieć, iż nawet marsz taki w ciągłej wodzie i w bagnach nie jest tyle szkodliwy w Afryce jak beczynne siedzenie na jednym miejscu, i zgadzam się najzupełniej z Comberem, misjonarzem, który rzekł, że tu ruch i zmiana powietrza są najlepszymi lekarstwami przeciw febrze i że często dokażą tego, czego nie dokazały wielkie dozy chininy<sup>84</sup>. Toteż nikt z nas silniejszej febry nie doznał i po kilku dniach odpoczynku mogliśmy w nową wyruszyć drogę.

### ROZDZIAŁ III

*Do katarakt rzeki Mungo. Osady Ekumbe-ba-Berange i Elik, pierwsze progi Mungo. W basenie źródeł Jabiangu. Balombi-ba-Kange. Postrach ludności na widok białych. Zatrzymani w Mokonii. Król Mdaibe i jego przywódcy. Ceremonia kassu. Zawód w Mambandzie, do Kumby. Stary król Aua, odkrycie katarakt rzeki Mungo. W drodze do Słoniowego Jeziora. Napaść słoni. Karawana zbита z toru. Nocleg w Ekumbe-ba-Wandzi. Pagórki Słoniowego Jeziora, czyli Mbu. Bassingi. Powrót do Bakundu-ba-Nambeleh. Rany trzymają w nieczynności w Bakundu. Tomczek wyrusza sam. Odkrycie jeziora Mbu i źródeł Rio del Rey. Ngongo*

<sup>83</sup>jeziora napotyka się — dziś popr.: jeziora napotyka się. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>chinina — lek przeciwmalaryczny w postaci białego, gorzkiego proszku otrzymywanego z kory chinowca. [przypis edytorski]



*i jezioro Meme. Poznanie plemienia Befarenganyów i alians z nimi. Nadzieje dotarcia do Bayongu.*

Dnia 10 września staliśmy na nowo gotowi do drogi. Żeby nie wzbudzić zazdrości, wzięliśmy tym razem ludzi kacyka Namneko, który wraz z licznymi swymi krewnymi odprowadził nas do północnych wrót miasta. Celem nowej podróży było odszukanie katarakt rzeki Mungo, do których żaden biały nie był jeszcze dotarł. Od krajowców dowiedzieliśmy się nazw miast murzyńskich leżących mniej więcej w prostej linii na północ-wschód, a mających prowadzić do pożądanego katarakt; oprócz tego donosili krajowcy o istnieniu innego wielkiego jeziora, zwanego również Balombi lub Mbu<sup>85</sup>, przy tym jednakże odstraszała nas niemożliwością dotarcia do niego teraz, twierdząc, że w tej właśnie porze roku znajduje się ono po prostu osaczonym stadami słoni; mimo to jednakże rozpoczęliśmy podróż.

Droga wiodła z początku na północ, prowadząc do rzeczki Bomby i spadając ze stromego wzgórza, na którym leży miasto. Nad brzegiem tej rzeczki zatrzymaliśmy się na chwilę, gdyż Namneko w nadziei nowego podarunku chciał okazać pewien zapal dla udania się naszego zamiaru i rozpoczął przemowę do tragarzy naszych, napominając ich, by szli, dokąd im biały rozkaże i nie sprzeciwiali się w niczym zamiarom naszym. Po skończeniu tej admonicji<sup>86</sup> nastąpił ogólny okrzyk pożegnania i podawszy rękę kacykowi, przeszliśmy drzewo służące za kładkę nad rzeką i wstąpiliśmy w odwieczne lasy. Szum rzeki głucho w oddaleniu, podczas gdy karawana szła pewnym i dziarskim krokiem naprzód do nieznanego, lecz pożądanego celu. Szliśmy po łańcuchu pagórków, które od Bakundu ciągną się mniej więcej na NNE, a dalej na NE, krzyżując się przy mieście Eliko<sup>87</sup> z rzeką Mungo, która ma tam pierwsze swe progi, tj. przestaje być splawna.

Po noclegu, odbytym w murzyńskim miasteczku Ekumbe-ba-Berange, przybyliśmy po nowym marszu przez gęsty las i po ciągłych łańcuchach pagórków do owego miejsca, tj. do Eliko. Mungo był tu mało co węższy, niż przy bakundyjskiej przystani. Olbrzymi pień, prawdziwy olbrzym, przewrócony bądź przez tornado, bądź rękami krajowców, tworzył naturalny most, dalej zaś w górę rzeki można było zauważyć trzy progi utworzone przez skały i bloki. Od miasta Eliko teren zaczął się stopniowo podnosić. Mungo pozostał z lewej strony, widzieliśmy go jeszcze raz z wysokiego pagórka, jak przesyłał bystre swe fale na dół ku Bakundu, wkrótce jednak znikł nam z oczu i podążając dalej w północno-wschodnim kierunku, zauważyliśmy wyraźnie, że liczne rzeki, jakieśmy napotykały, zaczynają podążać na wschód i południo-wschód; znajdowaliśmy się widocznie w basenie źródeł Ibiangu<sup>88</sup>, jednego z głównych ramion Rzeki Kameruńskiej, i wkrótce miało nam być dozwolone stanąć przy samych jego źródłach. Staliśmy na wysokim grzbiecie górnym, zaczynając właśnie z niego schodzić, gdy otworzyła się przed nami nagle wspaniała kotłownia, żywo przypominająca piękny Fürstenstein<sup>89</sup> na Szlązku, tylko roślinność podrównikowa, zalewająca tu wszystko jedną nieprzerwaną falą zieleni, gęstą jak węzeł gordyjski, w ciemniejszych utrzymywała ją cieniach zmroku.

Z prawej i lewej, nad nami i głęboko pod nami szumiały drobne, górskie strumyki, których naliczyłem w najbliższej okolicy kilkanaście, na dole wreszcie, na dnie tej kotłowni, łączyły się owe kryształowe wężyki w rzeczkę górską, spadającą z kaskady na kaskadę, a dążącą stąd do Kokki, jak twierdzili krajowcy; były to więc źródła Ibiangu.

Zanotowawszy klinometr, busołą, aneroid i pedometr<sup>90</sup> i odświeżywszy się przy chłodnych i czystych tych źródłach, ruszyliśmy dalej, brodząc długo w korycie nowej rzeki, aż wreszcie spinając się na nowy stromy skłon, przybyliśmy około piątej wieczorem do

<sup>85</sup>innego wielkiego jeziora, zwanego również Balombi lub Mbu — dziś: Barombi Mbo a. Barombi-ma-Mbu, niewielkie jezioro w Kamerunie ok. 30 km na płn.-wsch. od jeziora Barombi Koto; w czasach kolonialnych zwane też Jeziorem Słoniowym. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>admonicja (z łac., daw.) — przygana, upomnienie. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>Eliko — dziś: Ediki, ok. 15 km na płd. od jeziora Barombi Mbo. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>Ibiang — ang. Yabiang, dziś: Abo, prawy dopływ rzeki Wouri (daw.: Rzeka Kameruńskiej). [przypis edytorski]

<sup>89</sup>Fürstenstein (niem.) — zamek Książ, obecnie wraz z przyległymi budowlami stanowiący oficjalnie część miasta Wałbrzycha. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>klinometr, busoła, aneroid i pedometr — przyrządy do pomiarów terenowych: klinometr do mierzenia kątów pionowych warstw skalnych i innych powierzchni; busoła do wyznaczania kierunku północy; aneroid (tu: barometr) do pomiaru ciśnienia; pedometr (krokomiernik) do pomiaru przebytej odległości. [przypis edytorski]

nieznanego, murzyńskiego, dość wielkiego miasta Balombi-ba-Kange. Tu cała ludność rzuciła się na nasz widok w największym przestrachu do przeciwległych wrót. Nigdy albowiem przedtem nie widzieli białego człowieka, a podług ich mniemań diabeł ma ciało białe, przybywające więc nieznanne im istoty przeraziły ich śmiertelnie samym swym widokiem.

Kto nie zdążył uciec dość prędko z miasta, ten wpadał do pierwszej lepszej chaty, którą zabarykadowywano z gorączkowym pośpiechem. Tymczasem wybuchła burza i raptowna ulewa, powiększająca się z każdą chwilą, zmoczyła nas zupełnie — dach więc jakikolwiek był dla nas bardzo pożądanym. Zbliżyłem się więc w tym celu do starego krajowca, jedyne prawie, który nie mógł zdążyć za uciekającą ludnością, by zapytać się go o dom Sangonbuki (kacyka, właściwie „pana miasta”). Sądziłem, że przez starość swą będzie on nieco śmielszy od jego współobywateli, zaledwie jednak zbliżyliśmy się do niego, gdy i jemu przestrach dodał sił i znikł w jednej z chat.

Posłaliśmy więc kilku z naszych ludzi za nim, bakundyjczyków, by uspokoił zatrwożonego argumentem, że przecież oni, współplemienni z nim, przybyli tu z białymi, że więc biali ci nie mogą mieć złych zamiarów.

Po długich perswazjach udało im się wreszcie wynaleźć dom kacyka. Ten ostatni jednakże, zwany Mussumeh, podzielał skrupuły swych poddanych, gdy bowiem zobaczył, że się zbliżamy do jego domu, zamknął takowy szybko i od swych drzwi zaprowadził nas do starej walącej się chaty, aby nieznanne dziwolągi nie zaczarowały jego własnej siedziby. Muketu, drugi nasz tłumacz, wyraził jednakże nasze zapewnienia przyjaźni w sposób tak przekonywujący, że Mussumeh wkrótce się uspokoił i zdecydował się wreszcie nawet odprowadzić nas nazad do swej chaty; a tego samego wieczoru zamienił się również przestrach krajowców na ogólną ciekawość. Szturmowano po prostu do drzwi chaty, nie pozwalając nam ani na chwilę pozostać bez świadków. Bali się jednakże ciągle naszego spojrzenia, przypisując mu nadzwyczajne siły, i dość było spojrzeć nagle na jakiego bądź natręta, żeby go zmusić do ucieczki.

Mussumeh ofiarował nam kożę, jamsu i bananów, przyjął następnie nasze podarki i przepędziwszy noc w Balombi-ba-Kange, ruszyliśmy dalej w nadziei, że tego samego dnia około zachodu słońca ujrzemy katarakty rzeki Mungo. Podług informacji powziętych w Bakundu, miały się one znajdować w miejscu zwanym Mambanda.

Droga prowadziła znów przez pewną ilość plantacji, przeszliśmy przez *baku* (miasto niewolnicze) należące do Kange, następnie ciągnęły się znów gęste lasy, zawierające tu i ówdzie podobne podniesione kotłowniny wyschłych jezior, z jakich jedno zauważyliśmy już w Okuce, i przybyliśmy do brzegu nowej rzeki, którą trzeba było przebyć w bród. Było to widocznie jedno z lewych ramion Mungo. Z drugiej strony rzeki trzeba było piąć się na stromy pagórek i zaledwie uszliśmy po nim ze sto kroków, gdy wchodziliśmy do wrót bardzo rozległego, potężnego miasta. Było to Mokonie<sup>91</sup>, centrum wewnętrznego handlu kością słoniową w tych stronach. Polecilem karawanie naszej iść jak najprędzej i z zupełną pewnością siebie naprzód, gdyż było zaledwie południe, a chcieliśmy koniecznie dnia tego jeszcze dotrzeć do Mambandy. Obawiałem się przy tym, by nas nie zatrzymano, ludzie też podążali szybkim krokiem, na próżno jednak! Czegośmy się obawiali, to miało wkrótce nastąpić. Krajowcy, pomiędzy którymi znajduje się tu wielu czarnych handlarzy z Balungu, pośredników między brzegiem oceanu a Mokończykami i innymi wewnętrznymi plemionami, postanowili nas zatrzymać, gdyż balungscy przywódcy sądzą, iż przychodzimy im wydrzeć owo pośrednictwo. Wprawdzie sami Mokończycy rozpierzchli się na nasz widok, jak i mieszkańcy Balombi-ba-Kange, lecz Balungczycy, jaśniejsze mający o białych pojęcie, rozproszyli ich obawy, występując sami na czele, i wkrótce, podczas gdyśmy szybko kroczyli ku przeciwległym wrotom miasta, napelniły się ulice dziką, czarną zgrają, która krzycząc i wywijając kotlasami<sup>92</sup> (długimi nożami) i dzidami, puściła się pędem za nami żądając, byśmy stanęli.

<sup>91</sup>*Mokonie* — ang., niem.: Mokonye. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>*kotlas* (znieksz. fr.) — francuskie słowo *coutelas* w niektórych regionach tropikalnej Afryki i na Karaibach (podobnie jak pochodzące od niego angielskie *cutlass*) oznacza maczetę: długi, szeroki nóż używany do wyrąbywania ścieżek w tropikalnej dżungli oraz ścinania trzciny cukrowej na plantacjach; por. *kordelas*: długi nóż myśliwski, służący do oprawiania upolowanej zwierzyny oraz jako element uzbrojenia marynarzy. [przypis edytorski]

Z początku sądziłem, że mimo to przedostaniemy się przez miasto, i już staliśmy w pożądanym wschodnich wrotach, lecz tu zostaliśmy otoczeni ze wszech stron, podczas gdy dwóch starszych Murzynów z miotełkami, oznakami godności, podążyło ku nam co tchu w najwyższym rozognieniu umysłów.

Byli to Akama, główny przywódca Balungczyków, mający całe miasto wraz z królem i ludnością w swoich rękach, oraz Massango, syn i spadkobierca właściwego króla, lecz pozostający również pod wpływem Akamy. Jeden i drugi nie mogli się uspokoić, bezczelnością naszą, jak się wyrażali, a którą stanowiło to, żeśmy się ośmielili tak bez wszystkiego dążyć dalej w kraj, nie mając zamiaru zatrzymywać się w tak wielkim mieście jak Mokonia. Oświadczyli nam, że bezwarunkowo nie możemy ruszyć dalej, a przynajmniej musimy pozostać pewien czas w Mokonii, gdyż słyszeli oni już o naszym pobycie w tych krajach i tak wielkie miasto jak Mokonia nie może ścierpieć tego, ażeby biały człowiek je ominął i wołał inne miasto jako kwaterę. Wszelkie argumentacje okazały się tu próżne. Przedstawiłem Massango i Akamie, że musimy dziś jeszcze być w Mambandzie, ponieważ w przeciwnym razie prowiant nasz by nie wystarczył, lecz wszystko na próżno, a kiedyś sądził, że nie poważą się rzucić na nas, w razie gdybyśmy spróbowali ruszyć mimo to naprzód, i gdy schwyciwszy jednego z tragarzy za ramię, puściłem się z nim przez bramę, Balungczycy z dziką wrzawą napadli na resztę tragarzy i oddzielili ich od nas. Trudna była rada, wdać się w bitwę nie było można, gdyż ich było około tysiąca, a nas kilkunastu. Przyszło więc do układów; Massango i Akama żądali, ażebyśmy się w domu króla Mdaibe choć jedną dobę zatrzymali. Przypuszczałem wprawdzie, że po tej dobie nastąpi żądanie o drugą, by z nas, o ile możności, jak najwięcej wydusić podarków, a równocześnie się naradzić, czy w ogóle mają nas puścić dalej, ale trzeba było udawać, że tłumaczy się to chęcią ich ugoszczenia nas przez jeden dzień i zamieniając całą rzecz w żart, oświadczyliśmy im ze śmiechem, że w końcu to wszystko jedno, czy skończymy dzień w Mokonii czy w Mambandzie i dawszy znak ludziom, by szli za nim, wskazał Massango drogę do chaty dla nas przeznaczonej. Wnętrze jej wcale nie było zapraszające, przy słupie znajdującym się w pośrodku stał czarny bożek wyciosany z drzewa, a przedstawiony w postawie skaczącej, co najbardziej jednak ponure sprawiło wrażenie — było to kilkadziesiąt czaszek ludzkich, które wisiały u sufitu, po części stare i zakopcone, po części świeższe i pomalowane gliną. Były to czaszki skazanych za czary, a w jednym z rogów tej monstualnej izby, pod łóżkiem bambusowym, które miało nam służyć w nocy, leżała zupełnie prawie świeża i jeszcze cuchnąca czaszka. Podług pojęcia krajowców było to najbardziej ceremonialne miejsce i z tej prawdopodobnie przyczyny wybrano je dla nas.

Z początku krajowcy trzymali się z daleka, nie odważali się nawet zaglądać przez drzwi tej naszej chaty, był więc czas do uporządkowania naszych rzeczy i uspokojenia wystraszonych tragarzy. By tego dopiąć, musieliśmy okazywać powierzchownie jak największy spokój, choć razem z Tomczekiem byliśmy w rzeczywistości zasępieni, gdyż pewność ujrzenia dnia tego katarakt spodziewanych w Mambandzie minęła nas, podczas gdy położenie nasze stało się bardzo niepewne. Nie obawialiśmy się żadnych nowych gwałtów ze strony Massangi i Akamy, lecz wiedzieliśmy dobrze, że użyją na nas wszelkiej biernej presji, by o ile możności zzbogacić się przez czas forsowanego naszego pobytu zawartością naszych tłumoków<sup>93</sup>, tak, że mogliśmy się obawiać, czy bagaż w ogóle wystarczy do mety tej ekskursji.

Na szczęście stało się nieco lepiej, niż spodziewaliśmy się. Po południu przybył Massango, prosząc, byśmy wyszli przed dom, ponieważ stary jego ojciec, Mdaibe, 90-letni starzec, pragnie zjeść z nami *kassu* dla zawarcia pokoju. Wyniesiono nasze siedzenia, a gdyśmy je przed domem zajęli, znajdowaliśmy się w kole gęsto stojącej czarnej ludności miasta, naprzeciwko zaś nas siedział zgrzybiały Mdaibe król. Massango uprzedził nas, że z przyczyny starości ojca on, jako jego syn, będzie prowadził cały ten palawer; toteż po pewnym milczeniu Massango wstał i zawołał trzy razy: „Jesteśmy szczęśliwi z przyczyny białych ludzi!”, czemu za każdym razem wtórowało jednogłośnie: „I” (tak), następnie odwracając się do nas, zaczął prosić nas o przebaczenie. Z żywą gestykulacją oświadczył, że ludzie Mokonii nigdy przedtem nie widzieli białego człowieka, a że wiedzą dobrze, że to

<sup>93</sup>tumok — pakunek podróżny. [przypis edytorski]

biali ludzie wyrabiają te wszystkie piękne przedmioty, które oni otrzymują znad brzegu, że kilka dni temu słyszeli, iż nareszcie przybywają tacy biali ludzie, i że wszyscy wyglądali ku nim pełni oczekiwania. „Tymczasem — dodał — przychodźcie nareszcie i chciecie tylko przejść bez zatrzymania się w Mokonii, to byłoby niemożliwe, zrozumiejcie nas i nie gniewajcie się więcej”. Chociaż dobrze wiedziałem, że nie to tylko było przyczyną naszego zatrzymania, nie mogłem naturalnie tego pokazać. Odparłem więc, że byłem rzeczywiście rozgniewany, gdy nam weszli w drogę przy bramie, lecz że rozumiałem teraz ich palawer i pozostanę bez gniewu, ponieważ nas tak długo oczekiwano.

Szmer ukontentowania rozległ się w kole po mych słowach, a stary Mdaibe wstał i zbliżywszy się do mnie, włożył mi w rękę kilka kawałków pewnego twardego, gorzkiego owocu, czerwonego koloru, zwanego przez krajowców *maki*, a przez Anglików *colonut*<sup>94</sup>. Znałem już ten zwyczaj, powszechnie w tych krajach przyjęty, i gdy Mdaibe powrócił na swe siedzenie, przyszła na mnie kolej wstać, podejść ku niemu i znów złożyć owe kawałki *maki* na jego dłoni; znaczyło to, że biali zawarli z królem pokój. Następnie młody Murzyn przyniósł paczkę zawiniętą w liście bananowe, które w Afryce zastępują papier, a zawierającą drobne orzechy zwane *kassu*. Mdaibe zjadł jeden taki orzech, następnie wysypano je przed nami. Stosownie do zwyczaju kazaliśmy je jednemu z naszych ludzi rozdzielić na trzy części, jedną dla Mdaiby, drugą dla nas, a trzecią dla stojącego dokoła ludu, po czym nastąpiło spokojne łupanie skorupki.

By nastrój ten pokojowy powiększyć na naszą korzyść, rozdaliśmy z naszej strony kilka główek tytoniu, którego nie palą, lecz trą na tabakę i zażywają. Tłum też rozszedł się wkrótce w wysokim stopniu zadowolony. Mdaibe poszedł za nami do naszej chaty, usiadł spokojnie w jednym kącie i przez kilka godzin przypatrywał się nam, nie wyrzekłszy ani słowa, ale na twarzy jego można wyraźnie było zauważyć nieograniczone podziwienie, z którym śledził każdy nasz ruch. Gdyśmy kupili kilka jaj kurzych, spojrzął z niepokojem na stojącego w środku bożka, zupełnie zaś opuściła go powaga, gdyśmy zapalili lampkę spirytusową. Wtedy załamał ręce i spoglądał z przestachem to na nas, to na palącą się, jak twierdził, wodę, a potarcie się i zapalenie się zapałki wprawiało go w zupełne osłupienie, z głośnym zaś śmiechem przypatrywał się kilka chwil później, jak towarzysz mój Tomczek wyciągnąwszy z małej paczki wielką miednicę kauczukową, rozwinął takową i zaczął się w niej myć.

Tego wszystkiego było za wiele dla pojęć dobrodusznego Mdaiba, opuścił wreszcie swe miejsce, wyszedł i kazał dla nas zabić kozę, aby tak mądrzy ludzie, umiejący podobne nadzwyczajne rzeczy, nie potrzebowali ani na chwilę cierpieć u niego głodu.

Noc następną przeszła spokojnie mimo ohydneho otoczenia czaszek, wśród któregośmy się znajdowali, gdyśmy jednakże następnego poranku w dalszą wybierać się chcieli drogę, nastąpiły nowe nieporozumienia. Przybyli Akama i Masango i chociaż już dość nas wyeksploatowali ciągłymi żądaniami podarków, zaczęli na nowo sprzeciwiać się naszemu wymarszowi, chcieli koniecznie wiedzieć, po co właściwie chcemy iść dalej, i że jeżeliśmy przyszli po kupno oleju palmowego lub kości słoniowej, możemy dostać w Mokonii tych produktów tyle, ile tylko zechcemy, że nie mamy zatem żadnej potrzeby zapuszczać się głębiej w kraj.

Wyłożyłem im więc, że nie mam nic do czynienia z jakimikolwiek zakupami, czy to słoniowej kości, czy oleju palmowego, i że takowych nie przyjąłbym nawet jako podarku, ponieważ idę wyłącznie, by zwiedzić kraj, i nie chcę bynajmniej powiększać ciężarów naszych tragarzy niepotrzebnymi zakupionymi przedmiotami.

Długo trwały te rozprawy, krajowcy przyjmowali zapewnienia te z niedowierzaniem, gdyż słyszeli zawsze, że biali przybywają do tych krajów jedynie w celach zakupu wyżej wymienionych przedmiotów.

Wreszcie po nowych argumentach i nowym obdarzeniu mokońskich wampirów mogliśmy opuścić nieznośną dla nas Mokonię. Akama dał nam dwudziestu ludzi eskorty, aby następne miasto, Bao, leżące między Mokonią a Mambaudą, nie mogło nas zatrzymać, o ile albowiem wczoraj skorzy byli sami to uczynić, zazdrościli tego zaszczytu innym. Eskorta ta rzeczywiście przydała się nam, gdyż zaledwie wstąpiliśmy do ludnego miasta

<sup>94</sup>*colonut*, popr.: *kola nut* (ang.) — nasiona niektórych gatunków tropikalnych afrykańskich roślin z rodzaju *Cola*, zawierające kofeinę; w wielu krajach Afryki Zachodniej używane do żucia oraz uroczyste wręczane gościom. [przypis edytorski]

Bao, gdy zanosilo się na podobną scenę jak przy wejściu do Mokonii, lecz widok ludzi groźnego Akamy zastraszył Baoczyków. Szczęśliwie więc przybyliśmy do Mambandy, której mieszkańcy jednakże pierzchnęli na nasz widok przestraszeni, przypominając nam Balombi-ba-Kange. Wraz z Tomczekiem wkraczaliśmy pełni oczekiwania, sądziliśmy bowiem, że znajdziemy się w bliskości upragnionych katarakt. Oswojono wreszcie kacyka, noszącego tu nazwę Aboa, lecz któż opisze nasze zdumienie i zawód, gdy ani Aboa, ani żaden z jego ludzi nie wiedzieli nic o jakiegokolwiek wielkiej rzece lub o wodospadach w okolicy Mambandy.

Widocznie nas oszukano, zaczęliśmy się więc pytać, czy nie słyszeli oni o pewnej wielkiej wodzie, która z szumem i pianą spada przez skały i kamienie. Aboa potwierdził zapytanie, oświadczając, iż podobna woda znajduje się w miejscu zwanym Kumba, a które wskazywał w kierunku WSW. Dodał jednakże, iż do Kumby daleko i że trzeba nam będzie o niego przenocować. To jednakże nie zgadzało się bynajmniej z naszymi projektami. Podług słońca nie było później jak południe, a że krajowcy zwykle przesadzają, opisując odległości, do czego też Aboa miał tym bardziej powód, aby móc nas przez dzień zatrzymać i uzyskać podarki, postanowiliśmy zaraz wyruszyć do Kumby, tym bardziej że jeden z eskortujących nas Mokończyków oświadczył się z gotowością doprowadzenia nas dziś jeszcze do Kumby za odpowiednią zapłatą.

Postanowienie to wywołało wielkie niezadowolenie kacyka Mambandy, lecz tu wystarczyło kategoriyczne oświadczenie, iż bezwarunkowo zaraz ruszymy dalej, i tak się stało.

Zstąpiliśmy naprzód ze stromego stoku gór i napotkaliśmy po półtoragodzinnym marszu nowe ramię rzeki Mungo; zauważyliśmy jeszcze dwa inne płynące w odległości 1000 kroków jedno od drugiego. Przeszliśmy takowe, a teren zaczął się niezwłocznie podnosić. Gdyśmy, po nim krocząc, doszli do szczytu, stanęliśmy na dość rozległej wyżynie. Tu zauważyliśmy olbrzymie miasto, większe nawet od Mokonii. Była to Kumba. W oddaleniu dawał się słyszeć głuchy szmer, słońce chyliło się ku horyzontowi, przyspieszyliśmy więc kroku, czując, że zbliżamy się do celu, gdyż katarakty zwiastowały się swym szumem z daleka.

Mieszkańcy Kumby uciekli przed nami również; mokoński nasz przewodnik jednakże znalazł dom kacyka i zaprowadził nas wprost ku temuż. Aua, władca Kumby, przyjął nas z wielką powagą — nigdy nie zapomnę siły woli tego starca. Najmniejsze nawet drganie twarzy nie zdradzało jego wewnętrznej walki, chociaż kolana jego drżały z przyczyny zabobonnego strachu, gdym ma podawał rękę, dał mi mimo to swoją ze sztucznym spokojem. Następnie kazał przynieść stołki dla przybyszów i odpoczęliśmy. Jeden z synów jego przyniósł nam wody, a gdy Aua również usiadł, oświadczyłem mu cel naszego przybycia, to jest, że „słyszeliśmy o wielkim wodospadzie rzeki Mungo, który się podobno znajduje w jego kraju i że przybyliśmy, ażeby zwiedzić takowy”. Uśmiech zadowolenia zajaśniał na twarzy starego kacyka Kumby; czuł on się niezmiernie szczęśliwy, że biali z *m-benga* (z dali) przybyli, aby widzieć jego wodospad. Potwierdził, że takowy rzeczywiście leży na jego ziemi, lecz dodał, że nie prowadzi do niego żadna droga z przyczyny otaczających go złych duchów, że jednakże zwoła krajowców, aby całe miasto towarzyszyło nam do wielkiej wody, a tymczasem zapraszał nas, by odbyć z nim i innymi kacykami ceremonię *kassu*. Mimo gorącego pragnienia naszego stanąć jak najprędzej u stóp katarakt, musieliśmy jednak zadośćuczynić żądaniu Auy, aby go nie zrazić. Dwór jego napęłnił się tymczasem ciżbą ludu, która wzrastała z każdą chwilą i otoczyła nawet ściany zewnętrzne. Popęd ciekawości doszedł do takiego stopnia, że wdrapali się nawet na słabe bambusowe dachy, a w końcu nawet ściany i mury królewskiego gospodarstwa grozić zaczęły upadkiem, do tego stopnia tłoczyło się to czarne mrowisko, by ujrzeć białych ludzi.

Wreszcie skończyła się ceremonia *kassu*, zwołaliśmy ludzi naszych, polecając im zabrać długie noże, i udaliśmy się ku rzece, przepływającej u przeciwnych wrót miasta.

Mungo był tu znacznej szerokości. Była to zawsze jeszcze pełna, silna powierzchnia wodna, pędząca przez kraje te, pokryte zmrokiem gęstych nieznanych lasów — co do katarakt jednakże, wciąż tylko słyszeliśmy ich szum. By dotrzeć do nich, musieliśmy wejść na nowo do miasta na wyżynę i wciąć się w gąszcz w zachodnio-północnym kierunku. Cała ludność dążyła za nami. Znów ta powtórzyć muszę, że kto nie zna stron tropikalnych, ten nie ma pojęcia o tym nieprzeniknionym labiryncie zieleni, splecionym niby silny węzeł

gordyjski, lecz dokoła nas wrzało od głów i brunatnych ramion i nigdy prawdopodobnie nie panował taki ruch na tej drodze.

Całe pajęczyny lianów i gałęzi splecionych między sobą padały pod ciosami krajowych noży i po półgodzinnej pracy zajaśniała przez gąszcze olbrzymia, wrząca płaszczyna wodna, pokryta dziką, białą pianą, a spadająca w siedmiu tarasach z mniej więcej 80 stóp wysokości.

Z wystającej skały, zawieszanej tuż nad wodą, a do której przebiliśmy sobie drogę, spoglądaliśmy wraz z Tomczekiem na majestatyczny ten widok, ponad którym górny Mnogo, przypluwając z dalekich i nieznanych stron, świecił niby czarująca srebrna wstęga. „Wiwat Polonia!” — wyrwało się z naszych piersi — i staliśmy długo, napawając się widokiem, na którego czary żadne oko europejskie jeszcze nie patrzyło.

Słońce zaczęło tymczasem pochylać się do nieboskłonu, zmuszając nas powrócić do Kumby.

Czarna gromada naszych satelitów<sup>95</sup> towarzyszyła nam w największym rozgorączkowaniu, oblegając następnie naszą kwaterę do późnej nocy.

Stary Aua przygotował dla nas wieczerzę, podczas której siedział sam w chacie, przypatrując się nam ciekawie, następnie prosił, byśmy opowiadali, jak wygląda kraj białych i różniąc się pod tym względem nie bardzo wiele od Europejczyków, zadawał najdziwniejsze pytania.

Następnego dnia, 16 września, ludność otoczyła nas od samego rana. Wkrótce przybył król, prosząc, byśmy pokazali użytek naszej broni „wielkiej i małej” (tj. karabinów i rewolwerów). Trzeba było zadość uczynić prośbie starca, co spowodowało pomiędzy całą ludnością przestraszanie i zdumienie. Nie mogli pojąć, że jeden rewolwer może wystrzelić po kilka razy bez oddzielnego nabijania, a jeden karabin (Winchester) 14 razy. Wiadomość ta rozeszła się wkrótce po kraju, naturalnie przesadzona stosownie do stopnia bujności afrykańskiej fantazji; rozgłaszano bowiem, że biały człowiek może strzelać z swej broni bez końca, nabiwszy ją raz jeden tylko, i że każdy wystrzał trafia i zabija kilku ludzi.

Wreszcie wyszliśmy z gościnnego miasta, pożegnawszy się serdecznie z dobrodusznym Auą. Cała ludność dążyła za nami do rzeki, przez próg której wiodła nasza droga; bito w bębny i krajowe dzwony, śpiewano, słowem, okazywano nam wszelkimi sposobami największą przyjaźń. Przejsie przez tutejszy próg Mungo było nieco trudne, lecz z pomocą naszych ludzi przedostaliśmy się na drugi brzeg. Kumba i chmara odprowadzającej nas ludności znikły nam z oczu i wstąpiliśmy na drogę, która o mało co nie przyprawiła nas o pewną zgubę.

Ośmieleni wczorajszym odkryciem katarakt, chcieliśmy zaraz stąd przedrzeć się do tajemniczego jeziora Mba. Stary Aua wprawdzie odradzał, twierdząc, że między jeziorem Mbu a Kumbą lasy w owej chwili po prostu zalane były słoniami, ale sądziliśmy, że to tylko strachy na lachy i poszliśmy naprzód. Niestety, słowa starego kacyka Kumby miały wkrótce okazać się aż nadto prawdziwe. Na długo dzień ten pozostanie w naszej pamięci.

Droga prowadziła z początku przez liczne plantacje Kumby, po części zdziczałe, następnie weszliśmy w gęsty dziewiczy las, stało się zupełnie ciemno dokoła; o ludziach i osadach nie pozostało już ani śladu, a podług słów krajowców, las ten ciągnie się daleko w głąb, ślady też słoni stawały się coraz częstsze. Po godzinie marszu napotkaliśmy nagle krajowców, donoszących z największym przestraszaniem, że pędziła za nimi olbrzymia masa słoni, zalewająca po prostu swą liczbą całą okolicę, i że podążając naprzód, na pewno spotkamy się z nimi. I teraz nawet jeszcze nie wierzyliśmy w niebezpieczeństwo, zdawało mi się jednakże pożyteczne namówić jednego z tych krajowców, by towarzyszył nam jako przewodnik, i zawdzięczamy może jemu nasze ocalenie. Nazywał on się Muelle.

Nie minęło i pół godziny, gdy las cały zdawał się drzeć przed nadchodzącym stadem potworów, które zapowiadały swe przybycie rykiem, którego żadne pióro opisać nie jest w stanie. Tysiące trąb nie zdoła tak wstrząsnąć atmosferą. Ludzie struchleli. Stanęliśmy wszyscy, wstrzymując oddech. Trzeba było wysledzić kierunek pochodzenia stada. Podjął się tego Muelle. Przytłumionym świstem miał nas ostrzec o niebezpieczeństwie. Jak żmija prześliznęła się przez zarośla, podczas gdyśmy stali, czekając, a każda minuta zdawała się

<sup>95</sup>satelita — ciało niebieskie krążące dokoła swojej planety, księżyc; przen.: nieodstępny towarzysz. [przypis edytorski]

godziną! Wreszcie usłyszeliśmy silny świst. Opatrzono fuzje, za chwilę ukazała się w krzakach ciemna twarz powracającego Muelle. Oczy jego błyszczały dziko, rozdęte nozdrza drgały konwulsyjnie i patrząc w nas, jak gdyby chciał pytać, co robić, szepnął, wskazując trzy różne kierunki przed nami: „*Ndżoku, ndżoku, ndżoku, gita, Sango, gita!*” (słonie, słonie, słonie, wiele ich, panie, wiele!). „Zginęliśmy!” — zawołał Richard Aqua, blady i drżący. Pierwsze to było spotkanie tego rodzaju, sam nie wiedziałem, jak zaradzić najlepiej, lecz jeszcze w służbie marynarskiej uczono nas nie namyślać się długo, lecz postanawiać szybko w takich razach, a przy tym nie można było dać poznać po sobie, że się namyślamy. Po kilku więc słowach narady, wymienionych obojętnym głosem z Tomczkiem, kazałem nagle zarznąć kozę otrzymaną od Auy, aby nas nie zdradzała swym beczeniem, następnie pospiesznie rozpakować kufer, w którym znajdowały się naboje zapasowe, a opatrzwszy powtórnie karabiny i rewolwery, spytałem się Muella, w którym kierunku znajdują się najbliższe mieszkania ludzkie. Murzyn wskazał na zachód i rzekł: „Ekumbe-ba-Wandzi”.

Wybraliśmy więc ten kierunek, bo ostatecznie nie mieliśmy innego wyboru: ku nam ciągnęła falanga leśnych tych olbrzymów i, jak się zdawało, od krańca do krańca na całej linii przed nami; trzeba więc było w którymkolwiek punkcie przebić sobie przejście, gdyż, chociaż słonie rzadko kiedy napadają, lecz z drugiej strony nigdy się nie cofają, dążąc szybko naprzód, ufne w swą siłę i niszcząc wszystko przed sobą. Podążyliśmy więc naprzód, przesuńjąc się bez szelestu przez zarośla. Na nowo zagrzmiały dokoła trąby olbrzymów i znowu stanęli ludzie w nieograniczonej trwodze. Chcieli koniecznie, byśmy nawrócili, lecz tego nie można było uczynić, w takim bowiem razie, zastraszeni raz na zawsze, nie poszliby już dalej w dniach następnych za nic w świecie. Wyperswadowałem im więc stanowczo, że koniecznie trzeba iść naprzód, gdyż to stawanie i oczekiwanie przedłuża tylko niepewność naszego położenia, nie przeciwdziałając mu bynajmniej.

Ruszyliśmy więc znów dalej, gdy nagle — zdawało się z początku, że to szare głązy lub skały — ukazało się przed nami pędzące długą linią stado wśród trzaskających dokoła gałęzi. Cała nasza karawana, przerażona, rzuciła się wstecz. Wraz z Tomczkiem i częścią naszych ludzi rozpoczęliśmy ogień jak najszybszy, Muelle zaś zaczął ryczeć, powtarzając swe okrzyki bojowe, którym cała reszta wtórowała. Wrzask, ciągle strzały, dym, łoskot łamanych drzew i gałęzi sprawiły chaos piekielny. Z początku słonie goniły za nami w nieprzerwanej linii, wreszcie jednakże przerwała się ona, utworzyła się luka i stado rozdzieliło się na dwie części, zapuszczające się w gąszcze, w których łoskot przez nie sprawiany zaczął się stopniowo oddalać.

Na ten raz byliśmy ocaleni od stratowania. Las dokoła wyglądał jakby pomiętoszony. Po zebraniu rozproszonych ludzi odetchnięto na chwilę i nabiwszy na nowo broń, nawróciliśmy znów i w dawnym kierunku posunęliśmy się ku Ekumbe-ba-Wandzi.

Minęła godzina szybkiego marszu, odbytego w najgłębszym milczeniu, gdy ujrzeliśmy nagle z lewej strony nową falangę potworów. Rzuciliśmy się naprzód, by je wyminąć, lecz stado przybrało ten sam kierunek. Znów rozpoczęła się ta sama wrzawa; część nas rozproszyła się w bok, a w dymie zostałem nagle rzucony o złamane drzewo i uczułem silny ból na przodzie łydki, gdzie i tak już miałem rany, powstałe w marszu i jątrzące się od pewnego czasu. Niebezpieczeństwo jednakże dodaje sił nadzwyczajnych. Wiedząc, jaki rodzaj śmierci czeka nas pod stopami tych gigantów, wyprzedziliśmy stado mimo śliskiej po deszczu drogi, mimo pagórków i zejść spadzistych, nabijając i strzelając zarazem w biegu, dopóki ono, zmęczone lub wstrzymane odłamami gałęzi i wywróconymi drzewami, nie znikło w ciemnym lesie.

Znów można było odpocząć. Nowe wyjęto ładunki i po nabiciu broni ruszyliśmy pospiesznie dalej, zawsze w najgłębszej ciszy i ścisnąwszy rząd karawany, aż wreszcie po nowej godzinie stanęliśmy nad brzegiem rzeczki, ku której obniżał się teren.

Gdyśmy ją przeszli, Muelle stanął i odetchnąwszy głęboko, rzucił swą broń i kozę zabita, którą niósł, wołając: „Teraz wszystko skończone, oto plantacje miasta, to już ziemia Ekumby-ba-Wandzi!”

Ludzie na nowo odżyli. Rzuciliśmy się wszyscy znużeni na ziemię, rozłożono pakunki i zaczęto mówić o minionym niebezpieczeństwie. Ani ja, ani Tomczek nie mogliśmy naturalnie przez ten czas obserwować kierunków, lecz droga była dość prosta i wiodła przeważnie na WSW. Po dość długiej jeszcze drodze przez plantacje, niewolnicze osady

i drobniejsze przestrzenie lasów stanęliśmy wreszcie krótko przed zachodem słońca przy nowej rzeczce, u wrót Ekumbe-ba-Wandzi.

Chcieliśmy tu dać ludziom nieco wypoczynku, by wejść do miasta w porządniejszym stanie, lecz zerwał się nagle gwałtowny tornado: tu i ówdzie trzaskały wysokie palmy i inne drzewa, banany zaś plantacji spadały, jakby podcięte niewidzialną kosą. Był to widocznie dzień feralny! Wszędzie dokoła huk, trzask i wycie orkanu; a jednak powitaliśmy ten huragan z pewną radością, gdyż mówił on nam, że pora sucha nadchodzi — był to pierwszy jej zwiastun.

Szybkim krokiem weszliśmy do wystraszonego miasta, liczącego mniej więcej 50 chat. Nastąpiły jeszcze wprawdzie długie palawry dla oswojenia kacyka i ludności, lecz na koniec można było wypocząć po długim, ciężkim marszu i zająć pełnym dniu.

Gdym się wieczorem rozebrał, zauważyłem ze smutkiem, że nogi moje znajdowały się w fatalnym stanie, w wielu miejscach skóra była zdarta do kości, a jak tu wygoić rany, kiedy zaraz w dniu następnym czekał nas długi i uciążliwy marsz.

Krótko przed zachodem słońca oczyściła się atmosfera, huragan minął i w północno-wschodnim kierunku od naszego obozu ukazał się krótki łańcuch gór. Tam za nimi, świadczyli krajowcy, leży słoniowe jezioro Mbu. Droga do niego miała wynosić mniej więcej około pół dnia, a usłyszawszy to, nie zważając ani na rany, ani na nowe stada słoni, uczuliśmy jedno tylko pragnienie, to jest obejść ów łańcuch gór i dotrzeć do niego. W tej nadziei położyliśmy się do snu, lecz gdy następnego rana chcieliśmy urzeczywistnić nasze pragnienie, nie znalazł się w całym mieście nikt, który by choćby za dziesięciokrotną zapłatę zechciał nas przeprowadzić do brzegów owego jeziora.

W Ekumbe-ba-Wandzi znajdowali się nawet ludzie znad jeziora Mbu. Oni sami starali się, byśmy mogli dostać się do nich, w nadziei, że miasto Mbu otrzyma przez to liczne podarki, lecz byli oni sami już od kilku tygodni w Ekumbe-ba-Wandzi, nie mogąc powrócić do swoich, ponieważ jezioro jest w tej porze roku formalnie obleżone przez słonie, przechodzące teraz z nadchodzącą porą suchą do rzek i jezior. Jeden z owych krajowców, zapytany, czyby nie zechciał rzeczywiście zaprowadzić nas do jeziora Mbu w razie dobrej zapłaty, dał nam charakterystyczną odpowiedź, a mianowicie: „Gdybyście mi nawet ofiarowali żonę, nie mógłbym się tego podjąć”.

Z bólem serca musieliśmy się więc zgodzić na zmianę kierunku marszu i udać się przez Bassingi do naszej głównej kwatery w Bakundu. Wyruszyliśmy też niezwłocznie, odkładając dotarcie do jeziora Balombi o-Mbu do więcej sprzyjającej nam chwili.

Miasto Bassingi, do któregośmy weszli po południu następnego dnia, okazało się głównym centrum religijnym tych stron. Miało ono reputację posiadania najsilniejszych *kalati*, to jest fetyszów i talizmanów; liczne jednostki, a nawet całe partie krajowców przybywają tu ustawicznie, aby na nie przysięgać podczas sporów.

Ludność, przyzwyczajona do licznych procesji krajowców, okazała się dość skąpa, chwilowo brakło nam nawet prowiantu, lecz pokazawszy kacykowi Opunde podarki przygotowane dla niego, wstrzemięźliwość miasta co do dostarczania nam żywności zmieniła się nieco.

Z przyczyny ulewy szalejącej nad całym krajem musieliśmy spędzić w Bassingi całą dobę. Przez ten czas mogliśmy obserwować miasto i jego mieszkańców i zauważyliśmy, że pewna część tychże jest inaczej tatuowana niż wszyscy inni. Była to kasta, a raczej tajemnicze stowarzyszenie fetyszerskie, rodzaj frank-masonerii, kierującej wszystkimi przesądami tych krajów. Ze zdziwieniem zauważyliśmy, że posiadają oni oddzielny, przez nikogo niezrozumiały, religijny niejako język.

Marsz z Bassingi do Bakundu był dla mnie ciężką próbą: długość jego wynosiła przeszło 20 mil geograficznych<sup>96</sup>, i to przez teren przedstawiający całe serie głębokich rozmiękłych bagien. Ciężkie to było zadanie, nogi miałem pokryte ranami, które grzęznące w błocie buty rozdzierały co chwila na nowo i gdyśmy 19 września wieczorem przybyli do głównej naszej kwatery Bakundu-ba-Nambeleh, nie byłem w stanie przez długi czas uczynić choćby kroku.

<sup>96</sup>*mila geograficzna* — jednostka długości używana w XIX w. w niektórych krajach, równa 1/15 stopnia równikowego, tj. ok. 7,4 km. [przypis edytorski]



Mimo to postanowiliśmy w tej chwili rozpocząć poszukiwania co do jeziora Mbu i podczas gdy sam musiałem pozostać w Bakundu-ba-Nambeleh dla wyleczenia się z ran, udał się na ten raz Tomczek sam, obierając nowy kierunek przez nieznaną część kraju, kierunek, który miał dać mu ważne rezultaty. Dzielny Tomczek pałał żądzą odszukania tego, co już raz o staję zaledwie mieliśmy przed sobą, a szlachetna jego wytrwałość miała osiągnąć więcej nawet w tym marszu, niżem się spodziewał.

Pożegnaliśmy się serdecznie. Przy pomocy kija odprowadziłem go do wrót naszej kwatery, długo powiewały jeszcze nasze chustki, a potem już tylko towarzyszyć mu mogły życzenia pozostałego przyjaciela wśród czarnych głów swej karawany.

Pozostawiam własnym słowom Tomczeka relację z tego marszu, przesłaną w swoim czasie do „Dziennika Poznańskiego”<sup>97</sup>.

„Widząc, iż rany Rogozińskiego zatrzymają go przez dłuższy czas na miejscu, wyruszyłem dn. 23 września w nową podróż. Szczęście służyło mi tą razą<sup>98</sup> wierniej niż w wspólnych naszych podróżach.

Wstąpiwszy zaraz za Bakundu na nowy zupełnie teren, natrafiłem pierwszego dnia podróży, krótko przed miastem Baczy, na wyższy bieg rzeki Peteh (Mały Mungo), którą przechodziliśmy niejednokrotnie w pierwszych naszych podróżach. Nadzwyczajna ilość stoni, przepelniających te okolice, zmuszała mnie do ograniczenia pochodu na godziny południowe, podczas których kolosy kryją się w najchłodniejsze zakątki lasu. Niejednokrotnie jednakże łamanie gałęzi i wrzawa zdradzały bliski ich pobyt, a świeże ślady i spustoszone plantacje dawały najlepsze dowody o strasznej ich liczbie. Przeszedłszy miasta Nake i Borri, leżące na północo-zachodzie od Bakundu, przybyłem 26 września do szerokiej rzeki, nazwanej w tym miejscu przez krajowców jeziorem Meme. Dalsze badania przyprowadziły mnie do przekonania, iż Meme i Batim-ba-tamba (rzeka wpadająca do Meme z północo-wschodu) są wyższym biegiem tajemnicznej rzeki, która łącząc się z drugą, dotychczas jeszcze nieznaną, tworzy na wschodzie Kalabaru owo olbrzymie ujście Rio del Rey.

Przybywszy do przystani wyschłego łoża górskiego potoku wpadającego do jeziora, zastałem kilkunastu krajowców, czekających na pirogę, stojącą u przeciwległego brzegu 150 metrów szerokiej rzeki. Daremne były wszystkie ich wołania i wysiłki kobiet podnoszących głos do szczytu doniosłości — na ścieżce prowadzącej z lasu nie pokazywała się żywa dusza. Znudzony długim wyczekiwaniem, schwyciłem za rewolwer i wypaliłem 3 razy, ku niemałemu zdziwieniu czarnych, którym po chwili milczenia, pochodzącego może z przestachu, wyrwał się jednogłośny okrzyk zdziwienia. Okrzykowi i wystrzałom udało się zwabić przewodnika, gdyż niebawem na krańcu lasu ukazała się jego postać i wkrótce upragniona piroga stanęła u naszej przystani. Powierzywszy me losy niezgrabnej łodzi, przechylającej się ustawicznie na stronę i grożącej wywróceniem, odbiliśmy od wysokiego brzegu za pomocą tyczki i wkrótce mimo silnego prądu dostaliśmy się na przeciwległe wybrzeże, z którego stroma ścieżka prowadzi do miasta N’Gongo. Zastałem tu handlarzy kalabarskich, od których dowiedziałem się, iż tylko dwa dni drogi dzieli mnie od Kalabaru, a dzień od rzeki Lobeh, pod którą rozumiem owe drugie ramię Rio del Rey<sup>99</sup>.

Po zwykłych ceremoniach powitania w chacie królewskiej powróciłem do przystani, a zgodziwszy dwóch wioślarzy, puściłem się z biegiem rzeki, chcąc dotrzeć do punktu, w którym krajowcy nadają rzecę imię Bekeh. Po przebyciu jednakże kilkamilowej przestrzeni musiałem nawrócić, gdyż słońce ginęło poza górami, a wioślarze z obawy przed aligatorami, w które obfituje rzeka, za nic w świecie dalej płynąć nie chcieli. Przybywszy do mej kwatery, rzuciłem się zmęczony na bambusową ławkę, lecz nagle powstał niezwykły ruch między krajowcami i równocześnie usłyszałem krzyki: „*Nio! nio!*” (wąż, wąż).

<sup>97</sup>relację z tego marszu, przesłaną w swoim czasie do „Dziennika Poznańskiego” — rocznik XXVI, nr 2, z dnia 3 stycznia r. 1884. [przypis redakcyjny]

<sup>98</sup>tą razą — dziś popr.: tym razem. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>rzeki Lobeh, pod którą rozumiem owe drugie ramię Rio del Rey — ramieniem tym okazała się w następnym roku rzeka Rumby, wpadająca do morza na północo-zachodzie Gór Kameruńskich, nieco na południe od Rio del Rey. S.S.R. [przypis autorski]

Zerwałem się i odskoczyłem na środek chaty. Na jednym z prętów palmowego dachu wisiał z paszczą zwróconą na dół, właśnie ponad ławką, na której spoczywałem, 4 stopy długi wąż. Po kilkunastu uderzeniach kijem spadł na ziemię, wijąc się konwulsyjnie, jeden z najjadowitszych węży tutejszych.

Po źle przespanej nocy — tańczono i śpiewano aż do świtu — powróciłem w szybkich marszach do Nake, a dnia następnego zwróciłem się ku północo-wschodowi z niezachwianym zamiarem dotarcia do słoniowego jeziora. Zaraz za Nake trafiłem na rzekę, która podług wskazówek i wszelkiego prawdopodobieństwa przepływa poniżej N'Gongo, a dalsza droga, prowadząca w mniejszej lub większej odległości od łożyska rzeki, pozwalała mi śledzić za jej biegiem aż do progów. Przeszedłszy takowe, opuściłem rzekę na godzin kilka, lecz ku wielkiej mej radości ciekawy strumień ukazał mi się na powrót, krzyżując dwukrotnie mą drogę w bliskości miasta Bakundu-ba-Boa, gdzie pod imieniem Kabi przedstawia się jako bystry potok, wypływający z przyległego łańcucha pagórków.

Dnia następnego, 29 września, opuściłem Boę z fatalnym bólem głowy i febrą, spowodowaną zapewne całodzienną wczorajszą podróżą w silnej ulewie. Nadzieja jednakże ujrzenia jeszcze tego samego dnia wieczorem nieznanego jeziora podtrzymywała me siły i choć chwiejnym się krokiem, wyruszyłem w 12-milową podróż. Z trudnością tylko i wysileniem przebywałem na śliskich stromych drogach nieskończony rząd wysokich pagórków, piętrzących się przed nami. Wreszcie po kilkugodzinnym marszu, upadając ze zmęczenia, powitałem z radością w dali jaśniejącą smugę rzeczki, która spadała ze szmerem w kaskadach z skały na skałę. Wtem z prawej zawiął świeży wietrzyk. Spojrzałem w tę stronę: przed nami leżała obszerna płaszczyna wody — długo szukane jezioro M'Bu.

Zapomniałem o febrze i zmęczeniu, szybkim krokiem podążyłem do brzegu, a usiadłszy w jednej z licznych pirożek, napawałem oczy czarującym widokiem jak lustro gładkiej powierzchni jeziora. Nie wiem, jak długo byłbym pozostał w uroczym tym miejscu, gdyby nie znużeni tragarze, którzy z niecierpliwością czekali chwili złożenia bagażu w mieście.

Mieszkańcy M'Bu, uwiadomieni o przybyciu może bajecznego dla nich białego człowieka, wyszli naprzeciw nam, lecz za każdym krokiem, który uczyniłem naprzód, owe setki czarnych cofały się wstecz, nie dowierzając dziwnej istocie. Przy pierwszej chacie zatrzymała się wreszcie ciżba, a chcąc ją ośmielić, podszedłem ku niej, podając rękę najbliższemu stojącemu krajowcowi. Nie zrozumiał mego gestu, olbrzymi Murzyn drapnął, co sił mu starczyło, a za jego przykładem poszła i reszta. Gdyśmy jednakże przybyli do domu królewskiego, w jednej chwili zapełniła się chata czarnymi, którzy nie wiedząc, co czynić z zdumienia i radości, wdrapywali się z hałasem na stolki i słupy, grożąc zupełną ruiną i tak już chwiejną się chaty. Po chwili nadszedł podstarzały Murzyn o słusznej podstawie — król Mukuri, a wzięwszy podaną mu rękę w obie dłonie, trząsł nią długo i serdecznie, wyrażając mi swą radość, iż przecież wreszcie zawitał biały do ich miasta.

Odpocząwszy cokolwiek, powróciłem do jeziora i rzeki Sobo, by za pomocą kompasu zdjąć ich kontury. Ciekawa gawiedź nie opuszczała mnie na chwilę, a z zapadającą nocą rozpoczęła się serenada, która tym razem jednakże nie przeszkodziła mi bynajmniej zasnąć snem twardym.

Opuuszczając nazajutrz miasto, obdarzyłem uprzejmego króla, który dogadzał każdemu memu żądaniu, zwykłym doborem drobnostek, na których widok świeciły się z radości oczy starca. Przy pożegnaniu zadośćuczyniłem chętnie ogólnej prośbie i wystrzeliłem trzykrotnie z rewolweru. Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie to wywołało na dziecinnych umysłach spokojnych krajowców: skakano śpiewano, tracono rozum, jeden opowiadał drugiemu, jak *mukara* (biały człowiek) złamał broń, złożył ją i strzelił. Rozpromieniony król zdradzał wielką ochotę uściskania mnie, lecz wstrzymywał swe popędy, zadowolając się serdecznym poglaskaniem rąk mego chłopca noszącego rewolwer.

Odprowadzony przez całe miasto na wybrzeże, usadowiłem moich ludzi i bagaż w pirodze, sam wsiałem do drugiej, zaiste liliputowej pirożki i pożegnawszy skinieniem ręki jeszcze raz gościnniego ludka, odbiliśmy od brzegu. Z szybkością mknęła łupinka nasza po spokojnej powierzchni głębokiej toni, ożywionej licznymi, o matowych żaglach pirogami, powracającymi z połowu ryb lub z okolicznych plantacji, a obładowanymi plantanami, koką i janssem. Wysokie, lasem pokryte pagórki, otaczające ze wszech stron okrągławe jezioro, odbijały się na ciemnym tle głębokich niezmaconych wód, złote zaś promienie

Podróż, Natura,  
Kolonializm

pogodnego poranku oświecały trzymilowy obszar wodny, okolony wieńcem zielonych lasów.

Lecz otóż jesteśmy na drugim brzegu i nowy obraz zdumiewający swym majestatem przedstawia się naszym olśnionym oczom. Po olbrzymich głazach, między którymi szumi z jeziora wychodzący strumyk Mukunda-ma-Mbu, wchodzi się do głębokiej doliny, otoczonej z obu stron gigantycznymi wałami ciemnej skały, która rozdarta przez podziemne siły tysiące lat temu, złożona dzisiaj, tworzyłaby jedną jedyną całość.

Na stromej, wąskiej drodze prowadzącej nad samą przepaścią, w której dąży Mukunda, pniemy się pod górę wzdłuż 500 stóp wysokiej ściany, która tworząc ponad twą głową sklepienia, przygniata swym ogromem umysł, pokazując dobitnie, jak małym jest człowiek wobec wspaniałej, wszechmocnej przyrody. Przybyliśmy na szczyt grzbietu — długim spojrzeniem pożegnaliśmy nierównane rozpadliny, gdyż za skrzyżowaniem drogi nie ujrzymy ich więcej.

Słońce nie doszło jeszcze zenitu, gdy stanąłem po raz drugi w progach Mungo, w którego nurtach kąpało się kilkudziesięciu mieszkańców znanej nam Kumbai. Ujrawszy białego, przywitali mnie radośnie; lecz radość ustąpiła groźącym krzykiem i pogoni, gdy mała moja karawana, przekroczywszy rzekę, skręciła w las, omijając miasto. Nie zważając na nawoływania, dążyliśmy naprzód, a gdy wkrótce kilkunastu czarnych ukazało się za nami. Zatrzymawszy się na chwilę, wskazałem laską w stronę miasta i zabobonni Murzyni zawrócili spiesźnie, zostawiając nas w pokoju. Dwa dni marszu przeniosły mnie wreszcie do Bakundu po skróconej drodze i z opuszczeniem Mokonii”.

Te rezultaty dzielnego mego towarzysza powitałem z niezmierną radością, gdyż tak jezioro M’Bu, nazwane przez nas jeziorem Benedykta, jak i owa nowa rzeka, przepływająca około N’Gongo, były odkryciami niemałej wagi. Co do rzeki nie było wątpliwości, że jest to południowe ramię Rio del Rey, które w takim razie określone zostało do źródeł.

Teraz zaczęliśmy się krzątać nad sformowaniem większej karawany, z którą moglibyśmy wyruszyć głębiej w kraj do Bayongu. Kraj ten powinien leżeć od Bakundu w odległości dwóch tygodni dobrego marszu, a od kilku napotkanych Bayongczyków dowiedzieliśmy się już niektórych szczegółów o owym plemieniu. Niestety jednakże, musieliśmy stracić jeszcze kilka tygodni czasu z przyczyny mych ran, gdyż w tym klimacie w ogóle wszelkie rany goją się bardzo powoli, a często przekształcają się w chroniczne.

Tymczasem zaszła w Bakundu-ba-Nambeleh okoliczność, która miała w wielkiej części wpłynąć na dalszy przebieg naszej podróży i dzięki której dotarlibyśmy przede wszystkim do dalekiego Bayongu, gdyby nie stanęła na przeszkodzie po raz drugi chciwość czarnych handlarzy-pośredników i Mokonii, którzy mieli kres położyć dalszemu posuwaniu się naszemu w pożądanym kierunku.

Zajście to było następujące:

Już w drugiej podróży, to jest do katarakt rzeki Mungo, poznaliśmy pewien szczerp, którego karawany przybywały od czasu do czasu z dalekiego kraju do Bakundu. Były to dzikie postacie, których język nie miał wiele podobieństwa z bakundyjskim, a nazywali siebie „Befarenganya”.

Otóż kiedy znajdowałem się nieco wyżej na rzece Mungo, w miejscu Bauombe, aby poznać rzekę w tym punkcie i odwiedzić tam bawiącego króla Bela, przybyłego z Kamerunu, a mającego wielkie wpływy we wszystkich tych krajach, garść takich Befarengaczyków przybyła do Bakundu, niosąc kozy, kury i inne przedmioty, aby je zamienić na żelazo i sól.

Chcieli oni przejść przez Bakundu-ba-Nambeleh i przedostać się po raz pierwszy bliżej ku brzegom oceanu — lecz jak nas niegdyś Mokończycy nie chcieli puścić głębiej w kraj, tak zwykle krajowcy mieszkający bliżej brzegu nie chcą do niego dopuszczać przybywających z głębi, i to zawsze z tej samej przyczyny, to jest z żądzy pośredniczenia. Wszczęła się bójka między Befarengaczykami a Bakundyjczykami, podczas której jeden z pierwszych otrzymał silne cięcie w ramię. Krew zaczęła upływać niezmiernie szybko i kto wie, czyby zdołali sobie poradzić, tym bardziej że zamieszanie nie ustawało, gdyby

nie wmiészanie się Tomczeka, który uspokoił wzburzone umysły walczących, a zabrawszy rannego do naszej kwatery, zaopatrzył i zaszyl jego ranę.

W kilka dni po owej bójce przybyłem z Bauombe do Bakundu-ba-Nambeleh. Ranny Befarengańczyk był wciąż tam, a niebawem przybyła poważna karawana ze strony wschodu, tj. z wnętrza kraju, w której Ekue — tak nazywał się chory chłopiec — poznał swych rodaków, a mianowicie swego ojca. Dowiedzieliśmy się teraz, że pomoc wyświadczona przez Tomczeka może wyjść na dobre naszym zamiarom, gdyż ten ojciec był jednym z głównych kacyków w kraju Befarenganya.

Z początku, gdy zbliżali się do naszej kwatery, osłupieli na nasz widok i chociaż przybyli, by nam podziękować, i byli uprzedzeni, żeśmy biali, długo jednak zdecydować się nie mogli na ludzkie powitanie się z nami. Dopiero stary kacyk, gdy ujrzał swego syna, którego Tomczek prowadził za rękę, zdobył się na odwagę i podał nam rękę.

Przez kilka dni przebywali dzicy nasi goście w Bakundu-ba-Nambeleh, a przez ten czas dowiedzieliśmy się wielu ciekawych szczegółów o ich kraju i o sąsiednich. Z opowiadań tych wypadło, że szczerp ten ma swoją siedzibę w północno-wschodnim kierunku od Bakundu, idąc zaś do siebie, przechodzą przez jakąś szeroką rzekę, nad którą, jak twierdzili, „wisi most pleciony z lianów; pod mostem — opowiadali — woda szumi i pieni się, spadając po skałach”. Z tego wszystkiego wnosiliśmy, że idąc z Bakundu do Befarenganyów, przechodzi się ponad kataraktami górnego biegu Rzeki Kameruńskiej.

Stary kacyk i towarzyszący mu orszak zapytał nas wreszcie, czybyśmy nie chcieli przybyć do jego kraju, zapewniając, że nie zabraknie nam u niego niczego, że kraj ten obfituje w żywność i że z chęcią da nam przewodników, gdy zechcemy puścić się dalej w głąb kraju, dodając, że ów dalszy kraj nie jest już pokryty lasem, lecz wysoką, bujną trawą; to samo mówiono nam o Bayongu. Serca nam się zaśmiały na propozycję Befarengańczyków, gdyż ofiarowywali nam to, czegośmy najbardziej pragnęli. Widzieliśmy się już u kresu zamierzonej drogi w N<sup>o</sup>Tuntu, stolicy Bayongu, lecz niestety miało stać się inaczej. Na tej drodze leżało znane nam już miasto, przez które przejść było trzeba: była to Mokonia, złowroga, chytra Mokonia i to jedno miasto miało zniweczyć uśmiechające się te nadzieje.

Wyraziliśmy Befarengańczykom obawy co do Mokonii. Odparli oni, że podzielają takowe, ale pragnąc nas widzieć u siebie, wysłał znaczną siłę na nasze spotkanie, z którą będziemy mogli się połączyć przed Mokonią, aby w razie oporu Mokończyków przejść przebojem.

Alians ten z Befarengańczykami zawarliśmy przez podanie sobie obydwóch dłoni, a ich kacyk pozostawił dwóch swych towarzyszy w naszej kwaterze, by doglądali niewyleczonego jeszcze dostatecznie syna i aby mogli podążyć naprzód do Befarenganyów i w chwili naszego wyruszenia uprzedzić ich, na jaki dzień mają wysłać umówioną partię<sup>100</sup> i gdzie takowa ma się z nami spotkać.

Befarengańczycy wyruszyli. Pozostały chory szybko przychodził do zdrowia, rany moje także były prawie wygojone — rozpoczęliśmy więc pakowanie bagażu, potrzebnego na kilkumiesięczną podróż, nie wiedząc, że miało to być pakowanie do odwrotnego marszu.

Przypominając sobie te chwile, nie mogę się wstrzymać od oddania dobrze zasłużonego hołdu nieżyjącemu już dziś Tomczekowi.

Sądząc, żeśmy bliscy celu, nie żył on w owych dniach innym pragnieniem nad to, jakie wywoływała żądza ujżenia tajemniczych równin Bayongu. Do świtu siedział on niejednokrotnie nad pakami naszego bagażu, starając się, byśmy mogli nieść z sobą o ile możliwości wszystkiego po trochu bez powiększenia liczby 60 naszych tragarzy, i niejednokrotnie musiałem odrywać go przemocą od pracy, dla której narażał swe siły — zdrowie i życie!

Losy nie dozwoliły mi wrócić z nim wspólnie do kraju, lecz pamięć wiernego towarzysza i przyjaciela jest zawsze z nami i będzie zawsze złączona z przyszłym jakimkolwiek zadaniem.

Na tym kończymy dzisiejszy nasz przegląd eksploracji krajów Bakundu — pozostawiając koniec takowych do następnego i ostatniego odczytu.

<sup>100</sup>partia — tu: zorganizowana grupa. [przypis edytorski]

## ROZDZIAŁ IV

*Marsz w głąb z Bakundu. Bitwa pod Mokonią. Usiłowania przedarcia się do Befarenganyów. Odwrót do brzegu oceanu. List kacyków z Bakundu. Marsz przez Góry Kameruńskie. Znów na brzegu oceanu i na stacji Mondoleh. Eksploracja Gór Kameruńskich, ich brzegi i skłony. Śmierć Klemensa Tomczeka. Podróż do Gabonu. Przybycie okrętów niemieckich i zajęcie Bimbii wraz z Rzeką Kameruńską. Victoria staje się kolonią angielską. Krajowcy oddają mi część swych krajów. Układy z Anglikami. Traktat o Botę. Postawienie brzegu Gór Kameruńskich pod protektorat angielski. Do ujść Rio del Rey. Werbowanie Krumanów. Niemiecki reporter. Wejście na główny szczyt Gór Kameruńskich. Wojna w Kamerunie. Objęcie rządów nad kolonią Victoria. Napaść korwety „Bismarck” na naszą łódź i strzelanie w domniemanego Rogozińskiego. Koniec.*

W ostatnim odczycie stanęliśmy przy przygotowaniach do dalszego marszu w głąb, mającego się odbyć przy pomocy Befarengańczyków. Sformowanie karawany zajęło dość czasu; bakundyjscy kacykowie nie mogli się zdecydować w ostatniej chwili na puszczenie nas rzeczywiście w głąb, a gdy zobaczyli wyniesione z magazynu ekspedycyjnego paki w ilości kilkudziesięciu, z których każda ważyła 60 funtów, stanowiąc ciężar jednego tragarza, wtedy żal im się zrobiło, że tyle „skarbów” ma opuścić Bakundu i zostać wyniesionych do gąszczu.

Wreszcie ukończyły się palawry i wyruszyliśmy w drogę. Cała ludność wyszła aż do świątyni, przed którą siedzieli kacykowie dla pożegnalnej ceremonii. Był to dzień nie lada dla miasta, gdyż mieszkańcy sądzili, że owych kilkudziesięciu tragarzy, których zrekrutowaliśmy spośród nich, nie ujrzą przez długie miesiące. Starzy więc i młodzi otoczyli wyruszającą karawanę, podając swym ziomkom jeszcze na drogę to po kilka bananów, to kawał wędzonego mięsa, to znów butelkę wina palmowego. Następnie wystąpili kacykowie, zaczęli napominać ludzi i na znak zgody wylali ze skorupy kokosowej nieco wody na wszystkie cztery strony.

Karawanę podzieliłem na trzy oddziały z naczelnikami Modika, Essue i Missoli. Szliśmy już znaną drogą przez Ekumbe-ba-Berange, Elik i Kange, zaszedłszy przedtem jednakże do znanego mi już Bauombe; kilka dni zaś temu wysłano pozostawionych Befarengańczyków, by dali znać swemu kacykowi, żeśmy wyruszyli, i żądając, by przybyli stosownie do umowy.

W Ekumbe trudno było o prowiant, gdyż niedawno słonie były potratowały plantacje, w Elik zaś przyjęto nas z wielkimi ceremoniami i zaraz na wstępie ofiarowano trzy kury, cztery kozy, pewną ilość małego mięsa i potrzebną ilość plantanów dla tragarzy. Krajowcy przynosili to jako prezenta, gdyż wiedzieli, że w takim razie otrzymają od nas więcej, niżby żądać mogli jako prostą zapłatę. Wreszcie poszliśmy dalej; był to nieszczerliwy dzień 27 listopada.

Poranek był mglisty i pośepny. Sami z Tomczekiem byliśmy dziwnie niespokojni, jak gdybyśmy przeczuwali, że dzień ten miał rozbić wszystkie nasze nadzieje ujrzenia dalekich równin Bayongu. Przez kilka godzin wspinaliśmy się po stromych wyżynach i skłonach, zajmujących drogę pomiędzy Elik a Mokonią i Kange. Tu spotkaliśmy kilku czekających Befarengańczyków, donoszących, że ich król Mukune przesłał już oddział umówiony dla nas i że takowy około południa tego dnia powinien znajdować się około Mokonii. Dodali, że jest ich kilkuset. Poszliśmy więc dalej naprzód, by jak najprędzej rozstrzygnąć kwestię Mokonii. Sądziłem, że przy ostatnim pobycie przekonaliśmy Mokończyków, a że w każdym razie zawahają się nas zaczepiać, widząc silny oddział befarengański, i że prawdopodobnie skończy się na represjach co do podarków. Mimo to szliśmy w ponurym oczekiwaniu. Doszliśmy do miejsca, gdzie zebrali się Befarengańczycy. Las był gęsty, ciemny, a przed nami piętrzył się nowy, wysoki skłon. Wtem nad nami zapanował popłoch, znajdował się tam oddział befarengański, a w chwili połączenia się napadła nań trzykroć silniejsza zgraja Mokończyków i wszczęła się walka dzika, zawzięta, gdzie wszystkie namiętności obu stron puszczane samopas — nawzajem się zniszczyć, z ziemi zetrzeć pragnęły.

Wystrzwały z fuzji, dzidy, noże błyszczące tu i ówdzie wśród brunatnej masy ciał, tam znów kamienie i kłody drzewa rzucane ze skłonu przez rozjątrzonych wrogów naszych napelniały przez chwil kilka wszystko dokoła, a tam, gdzie padł cios śmiertelny, tam świadczył o tym jęk tylko pojedynczy, a potem szelest upadającego ciała, nad którym zamyka się gąszcz zielony, tworząc grób uspiętego na wieki czarnego wojaka.

Przewaga sił Mokończyków rozpędziła wreszcie garść wiernych naszych Befarenganyów, nieszczęśliwi sprzymierzeńcy nasi rozpierzchli się po lasach, powracając do siebie — nie ujrzałem ich więcej!

Z trudem zebrani tymczasem nasi tragarze bakundyjscy tak byli przerażeni, że z początku nie myśleli o niczym innym, jak o opuszczeniu nas i powróceniu do Bakundu-ba-Nambeleh, tym bardziej iż wiedzieli, że zamierzamy iść do Kange, należącego już do Mokonii. Siłą więc popędziliśmy ich ku temu miastu, by stąd jeszcze spróbować przekonać Mokończyków o naszych zamiarach przez parlamentarzą.

Rozłożono się więc obozem w Kange, lecz zachowanie się króla i mieszkańców było teraz tak jawnie zaczepne, że utworzywszy dokoła nas rodzaj barykady z pak naszego bagażu i nie wypuszczając z rąk broni, nie zmrużyliśmy prawie oka do rana, oczekiwanego z upragnieniem.

Następnego rana 28 listopada posłałem zaraz rano poselstwo do Mokonii, zapraszając Massangę i Akamę do nas celem ustnego pokojowego rozstrzygnięcia sprawy i przekonania ich, że wczorajsze postępowanie Mokonii było zupełnie niesprawiedliwe. Zaproszenie nasze niosło pięciu Murzynów pod dowództwem młodego Mukety, syna jednego z bakundyjskich kacyków.

Posłańcy nasi wyruszyli, a w naszym obozie oczekiwano z niecierpliwością rezultatu. Tymczasem nocne czuwanie i przesilenia dnia ostatniego razem z ulewnym deszczem, jaki zmoczył nas poprzedniej nocy, sprowadziły mi silną febrę, która trzęsła mnie przez cały dzień. Chwilami traciłem przytomność — leżałem w malignie. Tak mijały godziny, minęło i południe, Tomczek spogląda z niepokojem to na mój stan, to ku drodze mokońskiej, lecz posłańcy nie przybywali z powrotem. Ludzi naszych ogarnął żywy niepokój — nagle nad wieczorem nadeszli, ale w jakim stanie!

Obdarta i zadyszana nasza deputacja<sup>101</sup> doniosła, iż w Mokonii nie chciano ich słuchać, lecz związano ich, uwięziono i zaczęto męczyć, wreszcie odesłali znękanych, a pokazując im liczne dzidy, noże i inną broń, kazali nam powiedzieć, że przygotowali to i dla białych i ich karawany, jeżeli choć o krok puścimy się dalej.

To był grom, który rozbił ostatnie nasze nadzieje przedostania się dalej w głąb kraju. Na wpół nieprzytomny i mającąc w mej febrze, usłyszałem złowrogą tę wieść, zanim Tomczek przyszedł mi ją powtórzyć. Pomiędzy ludźmi zapanowała panika — po kilkakrotnie przychodzili dowiadywać się, jakie będzie me postanowienie. Odparto im, że mają być spokojni, że dziś jestem chory i że jutro powiem swoją rezolucję<sup>102</sup>. Następnego rana po nowej ciężkiej nocy czułem się fizycznie nieco lepiej, naradziliśmy się więc z Tomczkiem, co począć, i postanowili zrobić jeszcze jedną próbę, tj. ominąć Mokonię i dojść lasem do Mbu, aby się stamtąd przedostać do Befarenganyów, lecz wszystkie próby poruszenia do tego kroku naszych Bakundyjczyków okazały się próżne. Zaczęły się krzyki, narzekania, że prowadzimy ich na pewną śmierć, nie znalazł się żaden, który by poszedł. Wtedy użyłem podstępu.

Podczas pobytu mego w Bauombe dowiedziałem się, iż prowadzi stamtąd droga przez Ndo do Befarenganyów również, kierunek zaś z Kange do Bakundu jest z początku ten sam jak do Bauombe; dopiero za Elike rozdziela się wspólna ścieżka. Dano więc znak do odwrotu, a sądząc, że idziemy do Bakundu, karawana ruszyła chętnie w drogę. Powolność ta jednakże zmieniła się, gdy przy rozejściu się ścieżek kazano im pójść na lewo, zamiast oczekiwanej wschodniej ścieżki, prowadzącej do Bakundu. Wtedy tragarze rzucili się do ucieczki, lecz ocalił położenie wymierzony rewolwer i stanowcze oświadczenie, że „każdy, który zejdzie z drogi, dostanie kulą w łeb, gdyż pozostawiając nas samych w gąszczy, narażają nas na pewną zgubę”. Pierwszego grudnia przybyliśmy szczęśliwie do Banombe. Rozpuszczono zdemoralizowaną bakundyjską karawanę i weszliśmy w układy z kacykiem

<sup>101</sup>deputacja (z łac.) — przedstawicielstwo; delegacja, grupa przedstawicieli jakiejś zbiorowości wysłana w celu załatwienia jakiejś sprawy. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>rezolucja (daw., z łac.) — postanowienie powzięte po namyśle; decyzja władzy. [przypis edytorski]

tej osady, by nam dostarczył ludzi do nowej próby dotarcia przez Ndo do Basseng, stolicy Befarenganyów, lecz i te usiłowania miały być próżne. Mokończycy wszędzie stali nam w drodze, Massango już był uprzedził wszystkich Balungczyków, by zamknąć dla nas rzekę Mungo, okrzykując wszędzie, że *raukara* (biały) zszedł się z królem Befarenganyów, że ich pobito jednakże w Mokonii i że ciągnie z ogromnymi swymi „skarbami” inną drogą do nich, przez co wydrze handel pośredniczący z rąk Balungczyków i innych bliższych plemion. Pomiedzy innymi natarli Balungczycy również na króla Nambeleh i jego kacyków, żądając, aby wstrzymali białych od wyruszenia do Befarenganyów, i oświadczając, że jeżeli „oni” (biały) zostaliby zabici, wina wraz z jej skutkami spadnie na Bakundu. W mieście więc króla Nambeleh, nieodznaczającego się w ogóle wielką odwagą, zapanował postrach wielki, toteż 5 grudnia, gdyśmy już prawie ukończyli umowę z kacykiem co do nowych tragarzy, zjawia się nagle poselstwo z Bakundu, przynosząc list, który zachowałem jako jeden z najciekawszych dokumentów tego rodzaju. Był to list trzech kacyków bakundyjskich, dyktowany Richardsonowi, a podpisany przez samych kacyków. Podaję go tu w dosłownym tłumaczeniu:

Mr. S. S. Rogoziński

*Bakundu, Dec. 6, 1883*

Kochany Panie!

Jestem proszony o napisanie do Pana listu nie od siebie, lecz dla trzech kacyków, listu, do którego nadzwyczaj wiele przywiązują znaczenia.

Otóż zaczynam:

Panie!

Widzieliśmy mężów z Balungi, tych z dołu i tych z góry, co handlują z Befarenganyami. I jedni, i drudzy przyszli nam powiedzieć, iż jeżeli zezwolimy na to, aby „biały człowiek” poszedł do Ndo, wtedy Bakundu będzie odpowiadało za nieszczęście, jakie z tego wyniknie, gdyby on był zabity lub ktokolwiek z jego drużyny. Plemię Balungi mówi: „My czynimy plemię Bakundu odpowiedzialnym za to, w nieobecności króla Bella, iż ono prowadzi »białego człowieka« do dalekiego kraju”. Dlatego my się boimy i mówimy do ciebie: wracaj do Bakundu!

A jeżeli otrzymasz ludzi z Bauombe do niesienia twoich pakunków, płac ich tylko tytoniem, nie materiami.

Wracaj! Złego i nieszczęścia wiele jest przed tobą.

Gdy wrócisz do nas, wydamy prawo przeciw kradzieży, jakiej doznałeś, i nikt nie będzie śmiał żądać swojej zapłaty (z rozpuszczonej bakundyjskiej karawany) lub utrudzać cię czymkolwiek. Nie potrzebujesz nawet mówić do nich. Jeżeli jesteś zdrow, będziemy zadowoleni usłyszeć o tym.

*Nambeleh, Namneko, Likabo.*

Jeszcze jednakże nie zgodziliśmy się na odwrót i dalej toczyły się układy z kacykiem Bauomby, lecz bakundyjscy królikowie przeszkodzili takowym ostatecznie: 7 grudnia przybyli sami z zbrojnym orszakiem i w świątecznym stroju do naszego obozu. Nie było co robić: choć z ciężkim sercem, trzeba było powrócić do Bakundu, pomyśleć o marszu do brzegu oceanu i powrotu na stację Mondoleh. Puszczać się teraz na nowo w głąb stało się niemożliwością, ale więcej nawet: powrót po rzece Mungo był nam również odcięty, jak już wspomniałem, przez Balungczyków. Pozostała więc droga przez Góry Kameruńskie i po długich jeszcze palawrach wyjedналиśmy na królu Nambeleh, że dostarczył nam ludzi przynajmniej do pierwszego z miast górskich Ikaty, by tam najmować karawany od miasta do miasta.

Nambeleh odprowadził nas sam na czele kilkudziesięciu tragarzy i 13 grudnia pojechaliśmy Bakundu, dążąc do Ikaty i dalej po wschodnich skłonach całego prawie łańcucha gór do morza. Miał to być dla nas marsz pełen utrapień i nowych prób. Rany me na

nogach otworzyły się na nowo i niejeden krok po wspaniałych tych skłonach był wtedy istnym wysiłkiem.

Takie było nasze pierwsze zapoznanie się z Kameruńskimi Górami i ich mieszkańcami, z plemieniem Bakwiri, pomiędzy którymi mieliśmy następnie niejeden przeżyć dzień lepszy i z którymi w końcu żyliśmy się zupełnie.

Lecz nie uprzedzajmy kolei wypadków!

Gdy 14 grudnia rano zbudziliśmy się w Ikacie ze snu, wschodziło słońce z górskich parowów, rozpraszając lekką mgłę — ostatnie cienie bledniejącej szaty nocy. Kontury skłonów podnosiła poranna refrakcja<sup>103</sup> — zajaśniały szczyty kameruńskiego łańcucha, a z nimi zbudziło się również życie górali, wychodzących z swych chat palmowych, by zwołać swe trzody; ukazały się sylwetki kobiet krajowych, dążących do źródeł po wodę, a świergot ptactwa witającego nowy ranek w swych zielonych siedzibach nadawał krajobrazowi cechę dziwnie świeżą i spokojną zarazem.

Tak przedstawił nam się poranek wśród Gór Kameruńskich. Nie była to już dzika Afryka sąsiedniego Bakundu — nie, wśród tej rzeźwej scenerii pierś mimo woli oddychała pełniej, różniej i pewniej, mimo trudów, z jakimi odbywał się ten marsz.

Kacykowie albowiem górskich kraików, które najlepiej porównać by można z „klanami” starej Szkocji, chcieli każdy mieć nas u siebie przez dni kilka, a że musieliśmy od nich brać ludzi do noszenia naszego bagażu, tj. formować karawany od miasta tylko do miasta, więc mogli nas wstrzymywać tak długo, jak chcieli. Toteż drodze z Bakundu przez góry do morza, którą wygodnie odbyć można w przeciągu tygodnia, musieliśmy poświęcić 20 dni. Pamiętnym pozostanie mi niejeden z nich.

Między Ikata a Mussumą krajobrazy zachwycają podróżnika wspaniałą swą nieprzerwaną panoramą. Olbrzymia tropikalna roślinność pokrywała wszystko bezgranicznym różnobarwnym kobiercem, lśniącym się wśród par i promieni południa, to podnosząc się i wspinając ku szczytom, to znów spadając na dół i ginąc w parkowych gęstwinach podnóża, ciągnącego się między górami a rzeką Mungo. Czasem droga wiodła wąską ścieżką, w najdalsze prowadząc otchłanie — to znów uśmiechały się łagodnie polany, szumiące strumyki lub źródła, otoczone skałami, przy których karawana mogła odpocząć, odświeżając się kryształową wodą gór i napawając się barwną tą, rzadkiej piękności scenerią.

Chaty górali leżą tu wszystkie rozproszone, to pojedynczo, to po kilka razem, a pewna przestrzeń takowych tworzy jedną całość mającą swego kacyka, czyli *sangombo*. Takich całości, czyli kompleksów, nie można nazwać ani miastami, ani wioskami, z przyczyny rozproszenia chat; najcharakterystyczniejszą nazwą dla nich będzie starszokocki „klan”. Takimi klanami są np. znana nam już Ikata, Mossuma, Lisoka, do której przybyliśmy 20 grudnia, a która należy do największych, wreszcie najliczniejszy klan i najwyżej w górach położony: Buea, leżąca około 3000 stóp ponad morzem, a w której dziwne wywiera wrażenie na podróżniku surowszy już niejako charakter kraju, roślinność więcej przypominająca północ i wiatr ostrzejszy, uderzający silniej o skłony i skały. Granice między oddzielnymi klanami tworzą płotki, wyższe od człowieka, a przez które można przechodzić przy pomocy schodków, przystawionych z obu stron. Mają one głównie na celu, aby było należące do jednego klanu nie przechodziło do drugiego.

Minąwszy rzeczkę Kokę i chaty należące do Moriko, posiadające również bystry, świeży strumyk i przeszedłszy Bopfaj, niewielki kompleks chat, przybyliśmy 23 grudnia do Soppo, a tu u starego kacyka Boloy zaskoczyła nas wilia<sup>104</sup> świąt Bożego Narodzenia.

Dziwna to była wilia! Wraz z Tomczkiem siedzieliśmy w zakopconej chacie murzyńskiej. *Etuluk*, kaganek krajowy, rzucał na jej wnętrze żółtawe swe światło, miesząc się z płomieniami ogniska, gdzie na trzech kamieniach stał nasz kociołek. Ryb tu nie było, wieczerzę stanowił warchlak otrzymany od starego Boloy, a jego synowie dodali nam kilka kalabas wina palmowego. Tymczasem gdy prosta ta wieczerza była właśnie gotowa, silna febra rzuciła mnie na matę. Musiał więc Tomczek sam do niej zasiąść, podczas gdy, trzęsąc się mimo trzech kołder, leżał przy ognisku, wpatrując się w jego płomie-

<sup>103</sup>refrakcja — załamywanie się promieni świetlnych na granicy dwóch ośrodków o różnej gęstości. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>wilia (daw.) — wigilia, przeddzień, tj. dzień poprzedzający ważne wydarzenie; tu: wigilia Bożego Narodzenia. [przypis edytorski]



nie. Dopiero po kilku godzinach febra minęła i siedliśmy jeszcze razem do kociołka, wspominając dalekie ojczyste strony.

Dwudziestego piątego wyruszyliśmy z Soppo, minęli Bueę, przeszli przez rzeczkę Mossole, zmienili w Membei karawanę i minawszy jeszcze jeden dystrykt: Buasę, stanęliśmy już na południowym tarasie gór w Likumbe. Chata kacyka była niezmiernie pięknie położona: dokoła rysowały się głębokie parowy i doliny, a w nich leżały rozrzucone tu i ówdzie chaty górali. Teraz byliśmy już blisko brzegu morskiego, tj. Victorii, a myśl, że po całych miesiącach życia w gąszczach i zaroślach mamy wkrótce znów spocząć wśród komfortu europejskiego na stacji Mondoleh i ujrzeć nareszcie znów pozostałego tam towarzysza Janikowskiego, napępiała nieokreślonym uczuciem pewnego rodzaju rozkoszy, taki albowiem jest człowiek! Wtedy, strudzeni i zmęczeni, poranieni i obdarci, cieszyliśmy się nadzieją rozpoczęcia na nowo życia cywilizowanego. Dziś, gdy ono nas otacza, ciągnie nieprzeparta siła nazad ku owym bambusowym chatom, ku owym wieczorom i ogniskom krajowców, przy których się zasypiało spokojnie po trudach dnia, mimo niepewności, czy się ujrzy następny poranek.

Dwudziestego szóstego, przeszedłszy przez „klany” Boana i Bodzoke, przybyliśmy do Bondzongo i mogliśmy już zamieszkać w domu zbudowanym przez Europejczyków. Znajdował się tu albowiem opuszczony dom, zbudowany przez misję angielską, rezydującą na dole u stóp gór w Victorii, a od niej, tj. od zatoki Ambas i naszej stacji dzieliło nas już tylko kilka godzin marszu. Napotkany dom był wprawdzie ruiną o wybitych oknach i o zerwanym po części dachu, lecz przyjęliśmy tę kwatery mimo to z wielkim zadowoleniem.

Następnego dnia, dwudziestego siódmego, ujrzelśmy się nareszcie z Janikowskim, który był przybył na nasze spotkanie do Bondzongo, uprzedzony przez posłańca o naszym przybyciu. Nastąpiło, jak łatwo można się domyśleć, długie, serdeczne powitanie i nieskończona gawęda, trwająca po późnej nocy.

Nie zaraz jednakże można było wyruszyć na stację. Długi marsz przez góry, podczas którego rzadko tylko można było zaopatrywać me rany, przyprawił mnie o taki stan, że już w końcu kroku uczynić nie mogłem. Bywały chwile, że zwątpiłem zupełnie o ich wygojeniu, sądząc, że doszły do kości. Pozostaliśmy więc jeszcze kilka dni w Bondzongo i dopiero w dzień Nowego Roku (1884) stanęliśmy na stacji Mondoleh. Z pewnym wzruszeniem spoglądałem znowu na sine tło oceanu. Jasny, słoneczny poranek panował nad zatoką, gdyśmy wsiadali do łodzi odwożącej nas na wyspę Mondoleh. Za nami promieniały wspaniały taras gór, z których właśnieśmy zesli, przed nami leżała nasza spokojna wysepka z białą sylwetką stacji wśród palm i bananów. Nadzwyczajna cisza i przezroczystość w atmosferze przywitała to nasze przybycie do własnych czterech ścian i wszystkie przejścia ostatnich miesięcy zatoneły jakby w tych cichych falach i należały już do wspomnień przeszłości.

Stanęliśmy w przystani Mondoleh. Zdumiony spojrzałem dokoła — trudno było poznać własną stację. Pocziwy i pracowity Janikowski dokazał tu cudów zaiste: skopał część skłonu, wznosząc z drugiej strony przed domem wał, na którym falowała zielona trawa, ozdobiona tu i ówdzie bukietami to afrykańskich, to europejskich roślin; wybudował dwa domy gospodarskie, drogi i plac były czysto wysypane żwirem i symetrycznie okolonowane kamieniami; na skłonie góry pasły się kozy i kury, żywy inwentarz stacji, a gdyśmy weszli do mieszkania, zauważyłem miły, po europejsku urządzony zakątek, przyciągający swą powierzchownością i wzorowym porządkiem. Przy tym wszystkim miał czas zestawić zbiory zoologiczne i inne.

Uściskałem dłoń pocziwego towarzysza broni. Tu można było wypocząć, wyzdrowieć i do dalszej zabrać się pracy.

Krajowcy z wyspy Mondoleh i z przeciwległej Boty przybyli tłumnie się przywitać, wypytyując się z ciekawością o szczegółach naszej podróży, która wydawała się dla nich czymś nadzwyczajnym. Krajowcy ci puszczają się albowiem rzadko dalej od swego miejsca zamieszkania nad kilka godzin lub najwyżej dzień drogi w głąb.

Wygojenie mych ran szło jednakże bardzo powoli, mimo to, że udałem się do bliskiego Fernando Poo dla poradzenia się tamtejszego lekarza kolonii. Dopiero w końcu lutego powróciłem zupełnie wyleczony i postanowiliśmy zająć się eksploracją Gór Kameruńskich

do końca roku, w którym, po przybyciu nowych rekwizytów z Europy, zamierzaliśmy na nowo wyruszyć w głąb i próbować inną drogą przedostać się do Bayongu.

Eksplorację gór rozpoczęliśmy 27 lutego (1884), wyruszając ze stacji Mondoleh, by objechać cały brzeg od zatoki Ambas do rzeki Rumbi.

Zabraliśmy z sobą pięciu czarnych, potrzebne rekwizyta, prowiantu na tydzień, instrumenta niezbędne i wreszcie pewną ilość przedmiotów przeznaczonych na zamiany i podarki. Płynąc w otwartej szalupie wciąż tuż przy brzegu, obserwowaliśmy ściśle charakter każdej jego części, notując wszystko, cośmy spostrzegli, i wylądowując w licznych punktach. W ten sposób skonstatowaliśmy, że na brzegu tym, tj. między Botą a rzeką Rumbi znajdują się następujące miasta: dwie osady Ngemeh, następnie Bubinde, zaraz za nim Mukundange, przedzielone przylądkiem Limboh, zaś nad dość bystrą, obfitującą w ryby rzeką leży miasto Uidze. Wkrótce po nim sterczy nowy mniejszy przylądek, zwany Ounde, o dzikich, stromych brzegach, przed którymi fale piętrzą się wysoko, rozbijając się w licznych grotach, połączonych wewnętrznymi, naturalnymi tunelami. Przed przylądkiem tym sterczą dwie oryginalnej formacji skały. Dalej rozpoczyna się długa, piaszczysta ława, a na niej zaraz za przylądkiem Ounde miasto Batoki, u stóp pagórka, który widać wyraźnie z wyspy Mondoleh. Dalej rozpoczyna się już brzeg plemienia Mbomboko, a pierwszym jego miastem jest Bakingi, około którego krótko przed przylądkiem Lawate wpada kilka drobnych strumyków świeżej wody. Dalej pomiędzy przylądkami Lawate a Mouange zauważyliśmy śliczną, spokojną, choć niewielką zatoczkę Isongo z drobną osadą tegoż imienia, następnie, minąwszy przylądek Mouange, zauważa się miasto tegoż imienia (Mouange), a minąwszy daleko w morze wysunięty przylądek Debundza, czyniący wrażenie walącego się fortu, brzeg zaczyna dążyć ku północy, ukazując miasteczka Ndžondže i Isobę — dalej miasto Bibundi, posiadające najlepszą przystań na całym tym brzegu. Tu wpadają do morza liczne rzeki, ponad którymi leżą miasteczka Sandži, Kolleh i Lunnia. Przy tym ostatnim mieście leży rozległa laguna, do której spływa kilka rzeczek, schodzących z niej następnie jako jedna szeroka i dość głęboka rzeka, płynąca wzdłuż brzegu, a mająca swe ujście około przylądka Madali-Dikote. Od tego niskiego przylądka ciągnie się daleko w morze cały archipeląg niebezpiecznych, podwodnych skał. Tu Góry Kameruńskie odstepują od brzegu, czyli raczej przed nimi rozpościera się niski kraj Rumbi, bagnisty, niezdrowy i o wybrzeżach poniżających się tak szybko, że na miejscu, w którym krajowcy mieli osady dwadzieścia pięć lat temu, ciągną się dziś cuchnące, niezdrowe laguny. Zauważyliśmy tu tylko trzy miasta, będące już pod wpływem Starego Kalabaru, a mianowicie Jindab, Betike i Rumbi, czyli Bamusso.

Ta eksploracja brzegów została ukończona dnia 5 marca i rozpoczęliśmy zwiedzanie południowego tarasu gór, tj. osad leżących między zatoką Ambas i małym szczytem kameruńskim, czyli Mongoma-Etindeh<sup>105</sup>. Tu leżą klany Mokunda-Mbenge, Mokunda-Leluh, Boando i inne, a kraj ten okazał się nam tak barwny, tak zdrowy i świeży, że z zamiłowaniem spoglądaliśmy z okien stacji mandolijskiej na cudowną panoramę, którą nam przedstawiał. Zakreśliłiśmy sobie we trzech szerokie ramy pracy na wspaniałych tych wyżynach, gdy nieoczekiwanie zawisły ciężkie chmury nad cichą stacją Mondoleh i uderzył w nią cios, który pokrył nas kirem żaloby.

Dnia 1 maja musiałem się udać do Fernando Poo, by odebrać niektóre rzeczy, które przybyły dla nas z Europy i równocześnie wyekspediować listy i zbiory do kraju. Janikowski i Tomczek spakowali razem skrzynie, które zawierały wysłać się mające przedmioty, i pożegnałem się z nimi, nie przypuszczając nawet na chwilę, że z wiernym druhem lat dziecinnych, Tomczekiem, nie zobaczę się więcej.

Interesa w Fernando Poo wkrótce ukończone zostały i wyczekiwałem z dnia na dzień możliwości powrotu na stację, lecz na morzu szalały tornady i do dnia 30 maja zostałem wstrzymany w hiszpańskiej kolonii. Wreszcie przybyła wielka łódź żaglowa z zatoki Ambas. Z upragnieniem żądałem od niej wiadomości o towarzyszach z Mondoleh, lecz któż opisze to, co się we mnie działo, gdy jeden z Murzynów załogi łodzi doniósł mi głosem najspokojniejszym, że „wszystko tam dobrze, tylko jeden biały umarł na stacji”.

<sup>105</sup>*Mongoma-Etindeh* — dziś: Etinde a. Mongo-ma-Etindeh, zwany też Małym Kamerunem (1713 m n.p.m.), mniejszy szczyt wulkanu Kamerun, położony na południe od głównego. [przypis edytorski]

Wtedy zapomniałem o tornadach i deszczach, o burzach i morzu i najawczy siłą prawie tę samą łódź żaglową, podążyłem na osieroconą mą wyspę. Jeszcze w sercu tliła się nadzieja, że to wieść mylna, że to nieprawda, zdawało mi się niepodobne, że tak być mogło. Puściłem się więc na morze, szarpany straszną niepewnością. Ohydna to była przeprawa! Ulewny deszcz panował nad kanałem dzielącym Fernando Poo od Gór Kameruńskich. Morze szumiało dziko dokoła, wiatru — jak zawsze w takich razach — nie było zupełnie, cały więc dzień kołysała się łódź beczynn timer na morzu, choć paliła niepewność i żądza dotarcia do przeciwnyłych brzegów. A gdy noc nastala, zerwał się huragan, wtórujący jedynie spadającym strumieniom deszczu i dziwnym, dzikim nutom własnej duszy. Łódź była otwarta, nie mając nawet daszka, ale któz by myślał w takich chwilach o deszczu i slocie! Siedziałem milczący przy maszcie, nie dbając ani o pioruny uderzające dokoła, ani o ulewę szalejącą nad nami. Wreszcie zerwał się wicher, przechodzący stopniowo w silny wiatr przychylny, i rozdawszy nasze żagle, popędzał łódź w pożądanym kierunku. Przed świtem zarysowały się niewyraźnie kontury wyspy, ciemność panowała zupełna, najmniejsza gwiazda nie przerywała czarnej masy firmamentu. Tylko po głośnym szmerze fal, rozbijających się o brzegi, któremu wtórowały liczne cykady z prawej i lewej, poznałem, że jesteśmy tuż przy przystani naszej stacji mondolijskiej.

Stanęliśmy na kotwicy, czekając świtu. Wreszcie nadszedł takowy — kazałem więc spuścić pirogę i z jednym krajowcem dopłynąłem do przystani naszej, pogrążonej w głębokim śnie. Spojrzałem dokoła — nagle zauważyłem po prawej stronie domu, u stóp dwóch palm splatających spokojnie swe korony tuż nad brzegiem zatoki, niewielką mogiłę! A więc była to prawda! Przeszywający ból opanował całe moje jestestwo — wszystko, cośmy przeszli dotąd, było niczym w porównaniu z tą chwilą!

Długo stałem skamieniały nad drogą tą mogiłą, potem podążyłem ku domowi, by zbudzić ze snu pozostałego przyjaciela. Otworzył mi Janikowski. „Gdzie Tomczek?” — wyrwało się gorączkowo z mych piersi. Wzrok pełen boleści Janikowskiego był dostateczną odpowiedzią! U stóp owych palm, w tej ziemi afrykańskiej spoczywało wszystko, co mi pozostało z drogiego wiernego druha.

Zmarł dnia 20 maja (1884 r.). Z dnia na dzień, gdy opuszczała go gorączka, pytał się, czy nie wróciłem, wreszcie dwudziestego rano mówił spokojnie, zdawało się, że febry przełamane, że przychodzi do zdrowia, lecz był to tylko ostatni blask życia. Po południu ogarnęło go przecucie śmierci, zaczął rzewnie żegnać się z daleką Ojczyzną, potem, podnosząc się nagle, zawołał Janikowskiego do siebie: „Czy nie wrócił Stefan?” — zapytał błagającym głosem. „Nie jeszcze” — odparł stroskany towarzysz. „A więc za późno! — zawołał. — Daj mi rękę... ściśnij... mocno... umieram!” i przy słowach modlitwy Janikowskiego zasnął spokojnie na zawsze! Następnego dnia, w tym klimacie bowiem pogrzeby odbywać się muszą niezwłocznie, pochowano go! Krajowcy rozpiezchli się w zabobonnym strachu od miejsca, gdzie leżał bład, zmarły biały człowiek. Janikowski sam musiał oddać mu ostatnie posługi na ziemi i złożył resztki uszpionego pielgrzyma pod ową mogiłą.

Świeżego jej widoku jednakże znieść nie byliśmy w stanie, za wiele zabrała ta ziemia, więc powierzywszy dom czasowej pieczy oswojonych znów z zajęciem krajowców, wyruszyliśmy tą samą łodzią żaglową do Gabonu i na rzekę Remboe, by nie mieć czasu rozmyślać nad tym, co się stało!

Pobyt nasz w Gabonie trwał około trzech tygodni. Użyliśmy czasu tego na gromadzenie zbiorów etnograficznych i antropologicznych, które następnie wysłane zostały do Krakowa, a przy pracy, przy serdecznej gościnności Francuzów i przy ekskursjach, na rzekę Kemboe odbytych w celu poznania ludożerczego plemienia Pahuanów, zaczęły się umysły nasze oswajać z ciężką stratą, jakąśmy ponieśli, i 14 lipca powróciliśmy na osieroconą stację Mondoleh.

Tu rozpoczyna się ustęp czasu gorączkowych zajęć, które trwały prawie rok cały, a które niedawno tyle narobiły wrzawy w świecie politycznym. Chcę mówić o zabobonach kolonialnych niemieckich, podczas których cała Zatoka Biafryjska<sup>106</sup> znajdowała się

<sup>106</sup>Zatoka Biafryjska a. Biafra — ob. Zatoka Bonny, zatoka Oceanu Atlantyckiego stanowiąca część Zatoki Gwinejskiej, rozciągająca się od delty Nigru po Przylądek Lopez w Gabonie. [przypis edytorski]

w pewnym stanie rozgorączkowania, a które i nas z cichą naszą stacją Mondoleh nie pozostawiły w pokoju.

Zaledwie powróciliśmy do zatoki Ambas, gdy doniesiono nam, że na Rzekę Kameruńską przybyły niemieckie okręty w celu ogłoszenia protektoratu państwa niemieckiego nad rzeką Kamerunu; w Bimbii nawet delegaci niemieccy już sobie kazali odstąpić przez krajowców zwierzchnictwo nad krajem.

Wieść ta była dla wszystkich nieoczekiwana, dla nas zaś w najwyższym stopniu niepożądana. Krajowcy albowiem południowego skłonu Gór Kameruńskich już od pewnego czasu żyli się z nami, a kacykowie nadbrzeżni niejednokrotnie przychodzili na stację Mondoleh wraz z góralami, prosząc, abyśmy załatwiali wzajemne ich spory, w końcu zaś zaufanie ich posunęło się tak daleko, że główny kacyk, a mianowicie król Jerzy z Boty oddał rządy nad swym krajem w moje ręce, wkrótce zaś poszli za nim i inni sąsiedni kacykowie. Nabyłem równocześnie własność ziemską owych klanów, posiadając takim sposobem i ziemię, i rządy nad krajowcami takowej. Zabór więc przez Niemców sąsiedniej Bimbii i Rzeki Kameruńskiej zapowiadał zakłócenie spokoju w tym nowym naszym kraiku, gdyż ani na chwilę nie wątpiłem, że pokończywszy z Kamerunem i Bimbą, komisarz niemiecki, dr Nachtigal<sup>107</sup>, posunie się również na zachód ku pięknym naszym górcom, biorąc je *nolens volens*<sup>108</sup> — otwarcie, czy podstępem — pod protektorat niemiecki.

Obiektywnie sądziłem, że nie będzie to dobre dla kraju, który w pełnym zaufaniu oddał się nam, gdyż znane były mi dostatecznie gwałtowność, kręctwo i niejednokrotnie poznana brutalność względem krajowców niemieckiej faktorii w Kamerunie, przez którą działał głównie komisarz ks. Bismarcka<sup>109</sup>, subiektywnie zaś nie miałem żadnych inklinacji<sup>110</sup> rzucić się w ramiona tych, których uściski poznajemy dostatecznie codziennie w Europie. Toteż gdy dnia 10 sierpnia (1884) okręt wojenny angielski „Forward” podniósł flagę Wielkiej Brytanii ponad Victorią, krajem dzielącym naszą Botę od już niemieckiej Bimbii, oświadczyłem chętnie angielskiemu komendantowi, że gdyby rząd Jej Królewskiej Mości pragnął objawić swój protektorat nad naszymi terenami, nie byłbym bynajmniej temu przeciwny. Komendant i oficerowie okrętu obiadowali dnia tego u nas na stacji Mondoleh, a p. Furlonger, komendant, chwycił się skwapliwie mego oświadczenia, zapytując, czybym nie zechciał przesłać moje oświadczenie piśmiennie angielskiemu pełnomocnikowi do Bonny, dokąd „Forward” odpływała, a nadto czybym nie był skłonny do otrzymania dla nich podobnych protektoratów na dalszym ciągu linii brzegowej gór, tj. między Bota a Rio del Rey. Co do pierwszej części zapytania odparłem zaraz potwierdzająco i pod datą 15 sierpnia wysłałem odpowiedni list<sup>111</sup> do angielskiego konsula p. Hewetta, co do drugiej zaś zauważyłem p. Furlongerowi, że dla zajęcia owego brzegu potrzeba jednej rzeczy jedynie, tj. pośpiechu, gdyż niemieckie okręty, skończywszy z Kamerunem, prawdopodobnie czasu tracić nie będą. Dodałem jednakże, że jeżeli angielscy delegaci zjawią się dość wcześnie, chętnie popłynę z nimi i użyję swego wpływu między krajowcami dla osiągnięcia angielskiego protektoratu nad krajami, o których mowa, tj. leżącymi pomiędzy Bota a Rio del Rey. Było to albowiem moim przekonaniem (zapatrząc się z punktu widzenia krajowców i mając jako reprezentant części takowych ich dobro na oku), że pod protektoratem angielskim będą wolniejsi i szczęśliwsi niż pod ewentualnym niemieckim. Oprócz tego doznawałem często współdziałania i oznak przyjaźni ze strony angielskich komendantów, podczas gdy od niemieckiej faktorii w Kamerunie, z inicjatywy której zatknięty został sztandar niemiecki nad ową rzeką, doznaliśmy wszystkiego oprócz poczciwości i przyjaźni.

<sup>107</sup>Nachtigal, Gustav (1834–1885) — niemiecki lekarz wojskowy i badacz środkowej i zachodniej Afryki; w 1884 wysłany przez rząd Bismarcka do Afryki Zachodniej jako specjalny komisarz, swoimi działaniami spowodował, że Togoland i Kamerun stały się pierwszymi koloniami niemieckiego imperium kolonialnego. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>*nolens volens* (łac.) — chcąc, nie chcąc. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>Bismarck, Otto von (1815–1898) — niemiecki książę, polityk konserwatywny, jako premier Prus doprowadził do zjednoczenia państw niemieckich (1871), w powstałej Drugiej Rzeszy pełnił funkcję kanclerza. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>inklinacja — skłonność. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>pod datą 15 sierpnia wysłałem odpowiedni list do angielskiego konsula — kopia tego listu, jak i wszelkie tu odnoszące się dokumenta zachowane są pomiędzy notatkami ekspedycji. [przypis autorski]

Dnia 25 sierpnia zjawiała się kanonierka „Forward” powtórnie w zatoce Ambas. Komendant Furlonger podążył zaraz na stację Mondoleh, przybywając z pełnomocnictwem do zawarcia z nami traktatu o Botę i chcąc prosić o obiecaną pomoc do zawarcia następnych. Nie zastał mnie jednakże wtedy na stacji, byłem albowiem w Fernando Poo, podniósł więc zaraz kotwicę na nowo i podążył za mną wraz z swym okrętem do tegoż miejsca, objaśniając, w jakim celu przybył, i zapytując, kiedy będę mógł udać się na okręt, by rozpocząć ową dyplomatyczną misję. Wyruszyliśmy zaraz, tj. tego samego wieczora, i dn. 28 sierpnia podpisałem traktat, mocą którego nasza Bota stanęła pod angielskim protektorem.

Traktat ów — przechowany w oryginale — brzmiał, jak następuje:

Traktat preliminaryjny z p. S. S. Rogozińskim i Królem i Kacykiem Boty<sup>112</sup>.

*(Podpisany w Bocie)*

Jej Królewska Mość, Królowa Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii, Cesarzowa Indii etc., etc. i p. S. S. Rogoziński, i Król i Kacyk Boty, czyli Bobii, pragnąc podtrzymać i wzmocnić pokojowe i przyjazne relacje, które tak długo istniały pomiędzy nimi:

Jej Wielkobrytańska Królewska Mość zamianowała i nazaczyła p. E. H. Hewetta, Jej konsula na zatoki Beninu i Biafry, dla zawarcia traktatu w tym celu.

Porucznik Artur Furlonger, dowodzący J.K.M. okrętem „Forward”, mając odpowiednie upoważnienie od oznaczonego p. E. H. Hewetta w imieniu i dla Jej Królewskiej Mości, Królowej Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii etc., etc., oraz oznaczony p. S. S. Rogoziński i Król i Kacyk Boty postanowili i zawarli następujące paragrafy:

*Art. I*

Jej Królewska Mość, Królowa Wielkiej Brytanii i Irlandii etc., etc., stosując się do życzenia p. S. S. Rogozińskiego i Króla i Kacyka Boty podejmuje się rozpościerać nad nimi i nad krajem, znajdującym się pod ich władzą i jurysdykcją, Swą łaskawą opiekę i protekcję.

*Art. II*

P. S. S. Rogoziński i Król i Kacyk Boty postanawiają i zobowiązują się nie wchodzić w żadne korespondencje, układy lub traktaty z jakimkolwiek obcym narodem lub rządem bez wiedzy i sankcji Rządu Jej Królewskiej Mości Wielkobrytańskiej.

*Art. III*

Niniejszy traktat staje się obowiązujący od daty jego podpisu.

Dan w dwóch kopiach niniejszego dnia 28 sierpnia 1684 r. w mieście Bota.

(podpisano)

*A. Furlonger, dowodzący J.K.M. okr. „Forward”  
S. S. Rogoziński  
Król Jerzy (□ jego znak)*

*Kacyk X Molende (□ jego znak)*

<sup>112</sup>Traktat preliminaryjny z p. S. S. Rogozińskim i Królem i Kacykiem Boty — patrz angielską księgę błękitną: *Africa Nr 1 (1885) Correspondence respecting affairs in the Cameroons. Presented to both Houses of Parliament by Command of Her Majesty. February 1885.* Cena odbitki księgarskiej w Londynie 2 s. 3 d. [przypis autorski]

Świadkowie:  
(podpisano)

*R. M. Pearson, as. rew. J.K.M. okr. „Forward”  
Amonaco, tłumacz (□ jego znak)*

*S. Burnley*

Następnie tego samego dnia udaliśmy się zaraz na powrót na pokład kanonierki „Forward” dla postawienia owego dalszego brzegu również pod protektorat angielski.

Zatrzymywano się więc w następnych dniach przed każdym z nadbrzeżnych miast po kolei i udawaliśmy się na ląd, gdzie też miejscowi kacykowie, witając nas wszędzie radośnie jako znajomych z Mondoleh, bez wyjątku podpisali traktaty z komendantem Furlongerem, gdyż zawsze prawie oświadczały, że jeżeli myśmy im przybyli to poradzić, nie może być w tym nic złego. Toteż prowadziłem zwykle wstępne palawry, a p. Furlonger z swym asystentem mógł już przystępować wprost do formalności tylko, tj. do przeczytania im treści traktatu, którą dwaj z Boty wzięci tłumacze Monako i Njungo przekładali na język mbomboko, zapytania: czy zechcą przyjąć i podpisać traktat, otrzymania wreszcie potwierdzającej odpowiedzi, a następnie podpisów.

Dnia 1 września skończyliśmy z ostatnim miastem i wracali ku zatoce Ambas, gdy doniesiono z pokładu, że ku brzegom, od których właśnieśmy płynęli, a mianowicie ku Bibundi podążają dwa wojenne niemieckie okręty. Były to „Leipzig” (pancernik) i kanonierka „Möwe”, których zadaniem miało być uczynić to, czegośmy właśnie dokonali. Gdy zauważyli naszą powracającą już stamtąd „Forward”, poznali się na tym. „Leipzig” dała sygnały swej towarzysze, która niebawem wysadziła na ląd kilku krajowców, prawdopodobnie z Bimbii wziętych tłumaczy, okręty zaś, widząc, żeśmy je uprzedzili, nawróciły, odpływając w kierunku wyspy Fernando Poo. Tego samego wieczora stanęliśmy znów na kotwicy w zatoce Ambas i powróciłem z Janikowskim na stację Mondoleh.

Linia brzegowa Gór Kameruńskich stała więc pod protektoratem Wielkiej Brytanii.

Długo omawialiśmy fakt ten owego wieczora, czując dobrze i zdając sobie jasno sprawę z tego, że był to fakt niemałej wagi. Krajowcy przybyli nam wieszować. Biedni krajowcy! Nie było czego, chyba tego jedynie, żeśmy z dwojga złego wybrali dla was mniejsze. Spokojny wasz byt na wolnych waszych skłonach już nie pozostanie takim. Zamiary „białych braci” względem was, „niecywilizowanych”, nie są nigdy braterskie, pod sztandarem cywilizacji przybywa do was *mukara*, nie żeby dać cośkolwiek, lecz żeby wziąć, co można. Silny ze słabym nie zawiera nigdy traktatów z inną dążnością niż z tą, żeby je jak najprędzej zerwać i posunąć się dalej do wyrzucia was stopniowo ze starych waszych praw i wolności, a dla was nie ma apelacji, waszych skarg nikt nie zrozumie w Europie, nikt nawet nie przypuści, że i wy, „dzicy”, macie jakiegokolwiek prawa, że i wy umiecie czuć i cierpieć jak ludzkie stworzenia, ale przynajmniej jedną starał się wam oddać przysługę wasz przyjaciel z Mondoleh, tj. wybrać dla was tego z dwóch protektorów, który was będzie jak najmniej „protegował”, czy uzurpował, mając ziem i kolonii pod dostatkiem.

W przeciągu tego samego września przybywała jeszcze „Forward” i popłynąłem na niej w podobnym celu, proszony przez p. Furlongera, ku rzece Rumby i w ujście Rio del Rey. Podczas tej wyprawy dowiedziałem się, że rzeką Lobeh, którą wspominali w r. 1883 Tomczekowi krajowcy nad górnym Rio del Rey, jest rzeka Rumby, krajowa zaś nazwa dla ujścia Rio del Rey jest Fiari. W ujściu tym napotyka się wielu rybaków, których pirogi noszą na przodzie trupa głowę ludzką. Dawniejsi podróżnicy opisywali z tej prawdopodobnie przyczyny krajowców tego ujścia jako niezmiernie dzikich i okrutnych, gdy tymczasem owa czaszka nie oznacza żadnego krwawego trofea, lecz jest pamiątką po zmarłym jakim rybaku, którą dziecięcy umysł krajowca zabiera w swych pochodach, aby go prowadziła na szczęśliwe łowy; że zaś mieszkańcy brzegów Rio del Rey są tak nieprzystępni i nie puszczali zwykle podróżników na rzekę, nie jest to ich winą, lecz dzieje się to z rozkazu jednego z potężnych kacyków ze Starego Kalabaru imieniem Namati, czyli jak zowią Anglicy: Yellow-Duke.

Ów kacyk opanował całe porzeczce Rio del Rey, na którym ma liczne stacje handlowe, tak samo też na rzece Rumby, gdzie o 5 mil mniej więcej od ujścia wtedy właśnie znajdował

się dla handlu; przez zazdrość zaś o monopol takowego nakazuje krajowcom nie wpuszczać żadnych cudzoziemców.

Znów wróciłem wreszcie na stację Mondoleh. „Forward” odpłynęła na przylądek Dobrej Nadziei i zdawało się, że wszelkie zajścia polityczne są ukończone, że będziemy nareszcie znów mieli pokój. Posiadłości nasze rozszerzyły się znacznie przez nabycie krajów Ngemeh, Bubinde oraz Niższej i Wyższej Mokundy i coraz serdeczniejsze stały się stosunki nasze z krajowcami. Po niejednokrotnej jeszcze wycieczce w góry, w których przy tym udało się nam zakończyć szczęśliwie od dawna panującą wojnę między trzema górskimi kraikami, pozyskaliśmy między nimi zaufanie ostatecznie tak, że w końcu chodziliśmy po tych górach swobodnie i spokojnie, jakby w swej zagrodzie, wszędzie witani radośnie, a gdyśmy do jakiego krajowca zawitali na nocleg, czuliśmy, że mogliśmy zasnąć spokojnie, bez broni, że czuwa nad nami straż najpewniejsza, miłość i przywiązanie ludu, wśród którego nam włos z głowy nie spadnie.

Teraz, sądziliśmy, nastąpiła chwila wyekwipowania nowej ekspedycji, by uczynić nową próbę dotarcia dalej w głąb. Zamówione w Europie potrzebne do tego nowe przedmioty przybyły, potrzeba więc było pomyśleć o sformowaniu karawany.

W tym celu udałem się na parowcu „Ambriz” do Liberii, na brzegi Kru, by zwerbować potrzebną liczbę Krumanów. Wypłynąwszy 22 października z Fernando Poo i zwiedziwszy Nowy Kalabar, Bonny, kilka ujść Nigru i Złoty Brzeg, przybyłem 9 listopada do Monrowii, gdzie przesiadłem na powracający parowiec „Nubia”, werbujący Krumanów, i zawiąawszy do licznych punktów krumańskich, otrzymałem pożądaną ilość tych cennych na afrykańskim brzegu ludzi, zwykle werbowanych do wszelkiej pracy fizycznej. Stanęliśmy znów w licznych punktach, a między innymi w Bageyda około Dahomeju<sup>113</sup>, gdzie 28 listopada przybył na parowiec niejaki p. Hugo Zöller<sup>114</sup>, przedstawiając się mi jako redaktor „Gazety Kolońskiej” i zapytując, czy mógłby choć czasowo towarzyszyć mi i otrzymać pewne dane o Górach Kameruńskich. Oświadczyłem p. Zöllerowi z góry, że jestem pod względem politycznym antagonistą celów jego narodowości w stronach kameruńskich, lecz że to bynajmniej wpłynąć nie może na osobiste nasze stosunki i że pod względem naukowym jestem każdej chwili gotów dać mu wszelkie informacje, zapraszając go nawet do wzięcia udziału w projektowanej ekspedycji na szczyt Gór Kameruńskich, w której zamierzałem wypróbować nowo zwerbowanych Krumanów. P. Zöller przyjął zaproszenie z wdzięcznością i popłynęliśmy razem na parowcu „Nubia” do Fernando Poo, przeprawiając się następnie stamtąd na stację Mondoleh, gdzie stanął tymczasem p. Zöller, podczas gdyśmy wraz z Janikowskim przygotowywali rekwizyta do zamierzonego wejścia na główny szczyt kameruński. W dobrej wierze w rzetelność nieznanego nam Niemca spakowaliśmy i jego rzeczy w naszych ekspedycyjnych kuferkach, pożyczając mu również busolę podróżną, ponieważ nie miał z sobą żadnych instrumentów oprócz termometru w drewnianej oprawie, i po pewnym odpoczynku w naszym domu rozpoczęliśmy ekskursję, przyjmując pod spokojny nasz namiot obozowy owego nieznanego tym, czym chata bogata, jak mówi staropolskie przysłowie. Nie wiedzieliśmy niestety, że zabieramy z sobą pospolitego szarlatana, który uzurpując naszą dobrą wiarę, przyłączył się do nas może ze względów ekonomicznych lub wygody, donosząc następnie do czasopisma, które go wysłało, i do innych niemieckich, że takiego i takiego dnia przybył do zatoki Ambas, sformował karawanę i zorganizował ekspedycję na szczyt Gór Kameruńskich, przyjmując łaskawie za towarzyszy dwóch Polaków, a mianowicie pp. Rogozińskiego i Janikowskiego.

Wejście to na wierzchołek Mongo-ma-Lobah, główny szczyt Gór Kameruńskich, możemy streścić w następujący sposób:

Wyruszyliśmy z przystani mondolijskiej 8 grudnia o świcie. Obszerna łódź niosła oprócz nas trzech białych dziesięcin tragarzy Krumanów, przewodnika Silvē (Loandczyka) oraz tłumoki i rekwizyta podróżne wraz z prowiantem.

<sup>113</sup>Dahomej — historyczne królestwo ludu Fon w Afryce Zachodniej, istniejące od ok. roku 1600 na obszarze dzisiejszego Beninu; w 1894 Dahomej, pokonany przez Francję, stał się jej protektoratem, a następnie kolonią. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>Zöller, Hugo (1852–1933) — niemiecki podróżnik i dziennikarz, korespondent „Kölnische Zeitung”; w 1884 otrzymał zlecenie zbadania niemieckich kolonii w Afryce Zachodniej, pozyskanych przez Gustava Nachtigala. [przypis edytorski]

Średnia temperatura w owych dniach grudnia była na stacji Mondoleh:

o godz. 7 a. m.<sup>115</sup> = +26 °C,

o godz. 12 m.<sup>116</sup> = +28 °C,

o godz. 6 p. m.<sup>117</sup> = +27 °C.

Przeplłynęliśmy przez zatokę i wylądowawszy w naszej Bocie, ruszyliśmy dalej w góry, przechodząc wciąż przez nasz teren. W południe przybyliśmy do miasteczka Mukunda-Mbenge, obozując na świeżym powietrzu pod rozłożystym drzewem dla śniadania. Wreszcie przed wieczorem przybyliśmy na pierwszy nocleg do Boando (1750'<sup>118</sup> ponad morzem). Krajowcy przynieśli po radosnym powitaniu jaj, kur, warchlaka, bananów i wina palmowego, zasiedliśmy więc do afrykańskiej wieczerzy z wyjątkiem reportera, który nie mógł zżyć się z krajem i hołdował tylko kuchni europejskiej. Następnie, rozesławszy koldry w zajętej chacie, zasnęliśmy twardym snem podróżnika. Następnego dnia ruszyliśmy dalej. Chciałem dotrzeć do tak zwanego Mann's Springu, leżącego już 7350' ponad morzem, gdyż zdawało się to dogodną stacją na drugi nocleg. Drogi jednakże tak były zarosły, że musieliśmy wziąć do pomocy krajowców z Boando, którzy idąc naprzód, przebijali drogę przez gąszcz. Sprawilo to tak wielką stratę czasu, że ani było można myśleć w końcu o dotarciu do Mann's Springu tego samego wieczora. Te strefy gór są już niezamieszkałe przez ludzi; rozbiliśmy więc namiot w lesie przy jaskini dziwnej formy. Wygasłe ogniska świadczyły nam wyraźnie, że krajowcy także tu się zatrzymują na nocleg, jeżeli wycieczki myśliwskie zaprowadzą ich do tych wyżyn. Miejsce to nazywają Bakviri (górale) Isuma, tj. jama, wysokość zaś jego wynosi około 3500' ponad morzem. Isuma poleca się też jako stacja z tego względu, że niespełna o godzinę drogi od niej przepływa rzeczka Kele, mogąca dostarczyć świeżej i czystej wody dla karawany. Rzeczka ta bierze swój początek na sklonie wschodnim Małego Kamerunu, czyli Góry Kraszewskiego, tworzy na SE od szczytu tej góry wspaniałą wodospad i jako zachodnia granica kraju Boando spływa bystro po górach w głębokim korycie do morza za przylądkiem Limboh.

Wieczór był nadzwyczaj spokojny, choć miejsce wyglądało dziko i widać było dokoła namiotu świeże ślady słoń. Te jednakże nie przeszkadzały naszej gawędce w namiocie, przed którym sformowałem naprędce czerwono-białą flagę; nie zdołały też one spłoszyć snu z naszych powiek, które raz zamknięte nie otworzyły się aż o następnym świcie. Najniższa temperatura w nocy wynosiła 15 °C, o wschodzie zaś słońca mieliśmy 17 °C. Rosa była niezmiernie silna — flaga przed namiotem była rano jak z wody wyciągnięta. Drzewa i gałęzie są też dlatego pokryte gęstymi i długimi brodami szarawo-zielonego mchu. Takie też były słupy ścięte dla namiotu, co nadawało jego wnętrzu pozór jakiejś północnej kwatery.

Posławszy rano ludzi do rzeczki Kele po świeży zapas wody i napełniwszy nią opróżnione damżany<sup>119</sup>, ruszyliśmy dalej. Teraz marsz stał się nadzwyczaj uciążliwy, droga była miejscami niezmiernie stroma i dzika, podziwiać trzeba było naszych Krumanów, którzy szli żwawo i dziarsko naprzód mimo to, że nieśli 600 funtów naszego ładunku, czyli po 60 każdy. Dopędziła nas tu partia krajowców z Boando, przybyła z kacykiem Diko, by pomóc ciąć drogę, tak że karawana nasza urosła do blisko trzydziestu głów.

O 12 w południe stanęliśmy w lesie dla śniadania. Obozowaliśmy na wąskim dukcie lawy, spadającym stromo z obu stron. Roślinność była niezmierna, a wśród niej, u stóp olbrzymiego bombaksu, Krumani nasi, Boandczycy i my rozłożyliśmy się jak na zielonym kobiercu naokoło ogniska. Następnie zwinięto obóz i znów poszliśmy dalej po duktach lawy i skałach, wśród lianów, paproci drzewiastych i innych okazów roślinnych — gdy nagle o 5 po południu zaświeciła przed nami przez drzewa żółtawa, falująca przestrzeń i za chwilę wystąpiliśmy z pasu lasów, które jakby sztucznie kończą się tu nagle w 7300' wysokości. Przed nami leżała wysoka powierzchnia falującej prerii, która pokrywa wyższe regiony gór. Był to wspaniały widok! „*A glorious view*” — jak zawołał na to Burton<sup>120</sup>, gdy

<sup>115</sup>a. m. — skrót od łac. *ante meridiem*: przed południem. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>m. — skrót od łac. *meridiet*: południa. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>p. m. — skrót od łac. *post meridiem*: przed południem. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>1750' — 1750 stóp. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>damżana (z fr.: *dame-jeanne*) — gąsior, duże, pękate naczynie szklane z wąską szyjką, często owijane w wiklinę, służące do przechowywania płynów, szczególnie wina. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>Burton, Richard Francis (1821–1890) — brytyjski oficer, dyplomata i podróżnik; w 1861 jako pierwszy zdobył główny szczyt masywu Kamerun. [przypis edytorski]



jako pierwszy biały wspinał się na te same szczyty 25 lat temu. Pod nami leżał zielony, spadający ku morzu pas lasów, dokoła zaś ten step, prowadzący nad chmury. Zachodzące słońce ozlacało tę panoramę, rozlewając nad nią różowe, lśniące się światło; tak błyszczą czasem szczyty Alp lub Kaukazu. Po godzinie dalszego marszu weszliśmy w leśną kępkę (które tu i ówdzie leżą rozsiane na tym otwartym terenie) i stanęliśmy przy najwyższym źródle gór, w Mann's Springu.

Tu zastaliśmy kilka bambusowych chat, starych wprawdzie, dziurawych i opuszczonych, lecz w każdym razie więcej znaczących niż dziewicze pole lub las. Chaty te zbudowało czterech Szwedów, którzy tu przybyli niedawno temu dla polowania i handlu, lecz następnie znów opuścili Mann's Spring, przenosząc się niżej w góry do Mapanii. Ich oto chaty posłużyły nam teraz na nocleg. O 6 po południu temperatura wynosiła 16 °C. Wkrótce zapalono ogniska, Krumani zaczęli gotować swój ryż, Boandczycy swe plantany w oleju palmowym, reporter swe konserwy, a my wszystkiego po trochu. Zimno dawało się już uczuwać i kazałem palić ogień przez całą noc. Następnego dnia, 11 grudnia, o wschodzie słońca mieliśmy 11 °C.

Chciałem oznaczyć punkt wrzenia wody, lecz fatalnym trafem pyszny<sup>121</sup> termometr pękł u galki. Poszedłem obejrzeć następnie słynne źródło, dzięki któremu Mann's Spring otrzymał swą nazwę i stał się stacją zwykłą, tak dla dzikich strzelców krajowych, jak i rzadkich białych. Leży ono o 20 kroków na prawo od chat Szwedów w zaroślach i przedstawia naturalny mały basen w kamieniach, mający 3 stopy długości, niecałe 2 stopy szerokości i mniej więcej 1 stopę głębokości. Zdaje się, że tak wąty basenik jest mało znaczny — a jednak jest on dobrodziejstwem wyższych przestrzeni gór i zawsze dostarcza wody podróżnikom. Forma źródła jest sercowa, ku zaokrąglonej górnej części tego serca sączy się ze skały świeża woda, podczas gdy z drugiego, ostrego końca baseniku spływa strumyczek na dół, zmieniając ciągle wodę źródła, która też jest niezwykle czysta i świeża; temperatura tej wody w samym źródle, mierzona rano o godz. 7, była 14 °C.

O godz. 8 a. m. ruszyliśmy dalej. Stąd trzeba zabierać o ile możliwości jak największy zapas wody, gdyż wyżej nie ma jej już nigdzie. Toteż zaopatrzyliśmy się w 60 litrów wody niesionych w damżanach i jednej wielkiej kalabasie.

Marsz tego dnia miał być krótki, gdyż tak wypada ze względu na najlepsze miejsce następnego noclegu. Jest to wąta chatka z mchu i gałęzi stojąca o 2000' wyżej nad Mann's Springiem, czyli w wysokości 9350 stóp. Wybudowali ją krajowcy z Buei (już nam znanej), by mieć nocleg w górach podczas polowań na antylopy. Ci krajowcy z Buei są w ogóle tu, w tych wysokościach, jedyni, których się czasem spotyka, miasto ich jest albowiem, jak już wspomnieliśmy, najwyższym miastem Gór Kameruńskich, a że polują wiele i prowadzą również dosyć ożywiony handel z zachodnimi skłonami gór, z plemionami Bomboko, więc prowadzi dzięki nim ścieżka — najwyższa w górach — z Buei do owej chatki, do której właśnie dążymy (a którą angielska mapa gór podaje jako Hunters Hut), dalej do Mann's Springu, a stamtąd przez skłony zachodnie do miasta Bomano.

Teren wszędzie stepowy, gdzieniegdzie sterczą krater i bloki lawy, wkrótce za Mann's Springiem sterczy Earthwork Crater, czyniący wrażenie wielkiego szanica polowego, tu i ówdzie jeszcze kępka drzew, lecz coraz rzadziej — wiatr zaś, już niczym niewstrzymany, tnie pełną siłą po otwartych skłonach.

O 11 a. m. wchodzimy w jedną z małych kęp zarosłych drzewami i krzakami i spozstrzegamy tu ową chatkę krajowców Buei. Byłem zdziwiony z tak krótkiego marszu — niespełna 3 godziny, lecz radzę temu, który by po mnie chciał przedsięwziąć to samo zadanie, ograniczyć się na tym marszu, ponieważ: 1) daje to możliwość stąd jeszcze posłać ludzi nazad do Mann's Springu po nowy zapas wody, której tu trzeba urządzić, na dalszy ciąg podróży pod górę, skład niejako; 2) marsz dnia następnego jest niezmiernie ciężki i lepiej wypocząć tu pod osłoną kępki i chatki, aniżeli posunąć się dalej na odsłonięte wyżyny i nocować przed główną batalią — na jutro przypadającym wdrapaniem się na szczyt — w namiocie, pod wiatrem świszczącym.

Najbardziej cierpią w tych wycieczkach czarni tragarze, drżący od zimna, do którego nie są przyzwyczajeni; toteż kazałem Krumanom rozłożyć się w chacie baejskiej, a sami stanęliśmy wśród kępki osłaniających zarośli pod namiotem. Kępka ta dostarcza też do-

<sup>121</sup>pyszny — tu: wspaniały. [przypis edytorski]

statecznie drzewa na opał i słupów do namiotu, których to przedmiotów do tego punktu transportować nie potrzeba. Stąd jednakże dalej — jest to koniecznością.

W południe temperatura w kępcie chatki buejskiej była 18 °C, wkrótce potem jednakże zachmurzyło się niebo i termometr spadł do 16 °C.

Gdy ludzie skończyli gotowanie i jedzenie, posłałem część ich na nowo po wodę do Mann's Springu, wylewając zabraną stamtąd rano do kociołków, by móc napełnić o ile możliwości wszelkie naczynia i opróżnione butelki. Następnie rozłożyliśmy się w namiocie pod kołdrami, dzwoniąc zębami od zimna, któregośmy od dawna nie czuli, choć bowiem termometr nie stał tak nisko, wydawało nam się jednak zimno daleko silniejsze z przyczyny 2 lat spędzonych już w Afryce.

O 4:30 p. m. ludzie wrócili z wodą z Mann's Springu. Spisali się dzielnie, za co wynagrodziłem ich butelką rumu. O 5 p. m. temperatura = 13 °C, o 6 p. m. temp. = 12,50 °C, o 7 p. m. temp. = 12 °C.

Wieczorem zimno dało nam się w zupełności we znaki. Każdy z Krumanów miał wyznaczoną grubą kołdrę, każdy z nas dwa okrycia, oprócz tego, przygotowując się na noc i na dzień jutrzejszy, włożyliśmy po 2 singlety<sup>122</sup>, 2 koszule, 2 pary skarpetek, podwójne pantalon<sup>123</sup> i flanelowy kaftan. O rozbieraniu się na noc naturalnie w takiej podróży myśleć nie można i podróżnik musi być przygotowany na to, że podczas 8 dni wycieczki na pik kameruński ani razu nie będzie się rozbierał.

Dnia 12 grudnia wreszcie mieliśmy stanąć u celu. Noc była zimna, temperatura rano o 6 po wschodzie słońca = 12 °C. Zaraz od 6 a. m. zaczęliśmy związać obóz i pakować. Połowa ludzi tu miała pozostać z częścią bagażu; z nami zaś wyruszyło tylko 5 Krumanów i przewodnik Silva — z wodą, kołdrami, namiotami i słupami do niego, prowiantem na 2 dni i drzewem na opał. O 7 a. m. ruszyliśmy z miejsca. Droga prowadziła niezmiernie stromo miejscami. Krumani uginali się pod ciężarem swych ładunków, lecz mimo to szli żwawo naprzód — pomiędzy stokami lawy, drobnymi kraterami i skarłowaciałymi krzakami, z rzadka rysującymi się tu i ówdzie na stepowej powierzchni, prowadzącej ku wierzchołkowi, a pokrytej bladą trawą i mchami. Lodowo zimny wiatr szczypał w twarze i ręce tak, że było trudno trzymać kije góralskie, a rozrzedzona atmosfera utrudniała oddychanie. Sceneria wspaniała mimo swej północnej nagości. Pod nami chmury zakryły świat żyjących i sprawiają wrażenie, jak gdybyśmy byli oderwani od niego, dokoła zaś, jakby wyspa w powietrznym oceanie, falująca powierzchnia szczytów górnych, wyżyn i kraterów, pomiędzy którymi co chwila zrywa się antylopa i uciekając, bije kopytami po skałach.

Kierunek wiatru jest od E na W (taki sam kierunek chmur będących nad nami). W wysokości 10 700 stóp mniej więcej termometr postawiony za krzakiem chroniącym go od wiatru pokazywał o 8:10 a. m. 13 °C, wystawiony zaś na wiatr spadał o 3°. Około 11 a. m. sam szczyt, królujący jako oddzielna masa o trzech głowach nad całym kompleksem wyżyn, zarysował się jasno przed nami. Środkowa z tych trzech głów jest właściwym Mongo-ma-Lobah, czyli „Pico Grande” Bartona.

U stóp jednego z licznych wierzchołków otaczających Mongo-ma-Lobah stanęliśmy dla śniadania i rozbili namiot. Przed nami ciągnęło się olbrzymie pole lawy, przez które — ze 3 kilometry długie — miała wieść nasza droga na szczyt. Postanowiliśmy tu pozostawić i resztę ludzi, sami ruszyliśmy z przewodnikiem przez lawę, by dotrzeć do głównego wierzchołka i wrócić wieczorem tu do ostatniego obozu. Lecz przeszedłszy lawę, ujrzeliśmy, że droga na szczyt jest jeszcze tak daleka, iż ryzykowaliśmy nie zdążyć przed zachodem słońca do pozostawionego namiotu. Posłałem więc Silwę do ostatnich 5 Krumanów, by przenieśli namiot i tłumoki przez lawę i posunęli obóz na miejsce, z którego właśnie wysyłał<sup>122</sup> Silwę — bliżej samego piku. Posłuszny Murzyn zwinnie ruszył nazad. Poleciliśmy mu, by zapalił wielki ogień, gdy obóz będzie przeniesiony na to miejsce, abyśmy go mogli rozpoznać, wracając z piku — i sami we trzech, mając szczyt przed sobą, zaczęliśmy się spinać na sędziwego olbrzymia Gór Kameruńskich. Praca to ciężka, co chwila napotyka się stoki ruchomej drobnej lawy i popiołu, w których obsuwa się noga, pochyłość zaś tak jest stroma, że co kilka chwil trzeba było się zatrzymywać przy

<sup>122</sup> *singlet* (ang.) — podkoszulek na ramiączkach. [przypis edytorski]

<sup>123</sup> *pantalon* (daw.) — spodnie. [przypis edytorski]

jakim głazie lawy. Ostry, niczym nietamowany wiatr wyl dokola dzikim świstem, dążąc po lawie, i zdawał się chcieć nas zerwać z nóg i strącić na dół w przepaść. Rozrzedzona atmosfera przy tym zaledwie dozwalała oddychać i reporter na wpół stracił głos na pewien przeciąg czasu.

Wreszcie o 3:45 p. m. dn. 12 grudnia stanęliśmy na szczycie Mongo-ma-Lobah.

Liczne chmury niestety leżały dokola i zasłaniały widok. Wysokość 14 000 stóp blisko — także niestety — była za wielka dla mego aneroidu, który nie wskazywał więcej, lecz oceniam wysokość naokoło 14 000 stóp. Termometr pokazywał o godz. 4 p. m. +4 °C. Roślinności już prawie żadnej, tylko tu i ówdzie bladoszare mchy. Janikowski znalazł tu niewielkiego zielonawego ptaka nieżywego. Widocznie zanosły go tu wiatry i uległ samotny turysta zimnu. Sam szczyt nie jest obszerny co do miejsca. Wielki krater zerwał jego ścianę, która spada jako ziejąca przepaść; krawędź jej nawet ciągle się obrusza i od czasów ostatnich dwu wejść musiał się sam szczyt znacznie zmienić. Lodowy wiatr kazał nam drżeć od zimna mimo derki grubej, którą się osłoniłem. Zanieśliśmy byli z sobą mocną butelkę, do której włożyliśmy dokument na górze napisany, a świadczący po łacinie, iż *A. D. 1884, Dec. m. 12-mo d. Stephanus Rogoziński ac Leopoldus Janikowski — Poloni, et Hugonus Zölller — Germanus, in hunc summum montem, cui nomen est Mongo-ma-Lobah vel Mons Dei, profecti sunt*<sup>124</sup>. Butelkę tę zakorkowałem silnie, a wstawiwszy korkiem na dół do połowy w ruchomą lawę i ziemię, obstawiliśmy ją kamieniami.

Równocześnie zaszczylicili mnie koledzy tej wycieczki, nazywając prawego sąsiada z trzech głów piku „Mons Rogoziński”, lewy zaś otrzymał nazwę „Honorata”.

Zimno jednakże było tak silne, iż zesliśmy już o 4:15 z głównego piku i zatrzymaliśmy się nieco dla odpoczynku w siodle łączącym nowo nazwaną Górę Rogozińskiego z głównym pikiem Mongo-ma-Lobah. Tu w miejscu więcej osłoniętym termometr wskazywał 11 °C.

Drogę na dół odbyliśmy z niezmierną szybkością, po części zlatując, po części zsuwając się z wierzchołka — choć zdążyliśmy zebrać nieco mchów i porostów, o które prosił nas jeden z uczonych naszych w kraju — i o godz. 5:30 p. m. stanęliśmy znów w miejscu, gdzieśmy wysłali byli Silwę, by sprowadził tu nasz obóz. Wkrótce też ujrzelśmy dym w danym miejscu. Wszystko było w należyтым porządku i namiot z Krumanami już przeprowadzony — stał w rodzaju wypalonego starego krateru, o ile można, zasłonięty od wiatrów.

Po zimnej nocy ruszyliśmy następnego dnia, 13 grudnia, do pozostawionej w chacie buejskiej pierwszej części Krumanów z resztą bagażu, a zastawszy ich w należyтым stanie, puściliśmy się zaraz, po godzinie odpoczynku, dalej na dół do Mann's Springu. Droga na dół, jak zwykle w górach, idzie daleko szybciej i następnego dnia, 14 grudnia, wyruszywszy o godz. 7:30 a. m. z Mann's Springu, stanęliśmy o godz. 12:30 p. m. dla śniadania w Isumie, a opuściwszy ją po dwu godzinach odpoczynku, przybyliśmy o godz. 5:15 p. m. do Boando — znów między ludzi.

Wieść, żeśmy szczęśliwie tą drogą dotarli do piku — gdyż pierwsze dwie ascensje<sup>125</sup> były podejmowane nie na Boando z Boty, lecz przez Victorię i Mapanię — rozeszła się szybko wszędzie i tego samego jeszcze wieczora przybyła wielka ilość krajowców, „by się nam przypatrzeć”, pomiędzy plemionami gór albowiem wejście na szczyt zdaje się niemożliwe, ponieważ podług ich mniemania złe duchy goszczą ustawicznie na Mongo-ma-Lobah.

Następnego dnia, 15 grudnia, stanęliśmy nazad na stacji Mondoleh, odbywszy podróż na górę w pięciu dniach, drogę z góry zaś w trzech.

Pan Zölller pożegnał się z nami i odpłynął na Rzekę Kameruńską, prosząc o pozwolenie zabrania pożyczonej mu busoli, i prawdopodobnie za pomocą niej zestawił owe „mapy stron kameruńskich”, które następnie przesłał wraz ze wspaniałymi opisami swej działalności do Niemiec, a które opisują miejscowości, w których p. Zölller nawet nigdy nie był, również jak i fakta niebywałe.

Tymczasem zaczęliśmy się przygotowywać do ponownego wyruszenia w głąb, któreśmy projektowali przez rzekę Lungasi, jedno z głównych ramion Rzeki Kameruńskiej,

<sup>124</sup>*A. D. 1884, Dec. m. 12-mo d. . .* — Roku Pańskiego 1884, dnia 12 grudnia Polacy Stefan Rogoziński jako też Leopold Janikowski oraz Niemiec Hugo Zölller przybyli na tę najwyższą górę, która zwie się Mongo-ma-Lobah lub Górą Boga. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>*ascensja* (daw., rzad., z łac.) — wejście na górę, wzniesienie się. [przypis edytorski]

gdy nagle rozeszła się wieść, że na Rzece Kameruńskiej wybuchła wojna pomiędzy krajowcami a Niemcami. Stosownie do opowiadania krajowców rzecz miała się w następujący sposób: niemieccy delegaci, traktując o Kamerun, o który od 2 lat przedtem traktował delegat angielski, p. Hewett, niestety zbyt powolny i nieenergiczny (gdyż krajowcy rzeki po dwakroć prosili go sami o protektorat angielski), zawarli umowy jedynie z królami Bell i Akwa, gdy zaś na podstawie okupionych umów zatknęli swe sztandary nad całą rzeką, wtedy kacykowie nieuwzględnieni, a pomiędzy nimi głównie Lok-Prisso, kacyk miast Hikory, i naczelnicy z Josstown, oparli się okupacji ziem będących pod ich jurysdykcją i władzą, twierdząc słusznie, że nie zawierali żadnych traktatów z Niemcami, że przeciwnie, oczekują wciąż angielskiego protektoratu, o który wręczyli p. Hewettowi już dawno podanie. Oświadczyli więc, że sprzeciwiają się zaborowi niemieckiemu i że nikt nie ma prawa naruszać ich własności bez ich woli, a gdy delegat niemiecki zatknął mimo to na smutnej zasadzie siły przed prawem swe sztandary w mieście Hikory, rezolutny Lok-Prisso oświadczył, że jeżeli nie usuną niezwłocznie takowych, on to uczyni. Wtedy komisarz niemiecki, dr Nachtigal, cofnął swój sztandar z Hikory, ale naturalnie wyczekiwano tylko pierwszej okazji do zwady, by to, czego nie można było wziąć prawnie, wziąć siłą. Okazja wkrótce się nadarzyła. Od dawna trwały spory między kacykiem Lok-Prisso a królem Bellem, protegowanym niemieckim. Gdy więc ludzie z Hikory rozpoczęli wojnę z królem Bellem, do której przyłączyło się Josstown, oburzone na Bella, że oddał kraj wbrew woli krajowców i innych kacyków, niemieckie okręty, stojące wtedy na kotwicy w Kamerunie, schwyciły skwapliwie tę okoliczność, by występując w imieniu swego protegowanego zająć teraz oponujące miasto. Zbombardowano Hikory i Josstown, atoli przy walecznej obronie takowych i niestety przy niejednej stracie życia w obu obozach. Nieszczęśliwy Lok-Prisso musiał z resztką swej drużyny uciekać w gąszcze, a z miast jego pozostały tylko zgliszcza chat spalonych przez Niemców naftą i trupy zabitych. Później dopiero poznali Niemcy sami, że w owym sporze z Bellem sprawiedliwość była po stronie Lok-Prissa. Wtedy niemiecki admirał Knorr<sup>126</sup> kazał mu oświadczyć „wielkodusznie”, że pozwala mu powrócić do swej siedziby. Pomiedzy krajowcami jednakże napotykały się postacie istnie heroiczne. „Czy odbudujesz me miasto i wskrzesisz mych zabitych?” — kazał odpowiedzieć pokrzywdzony Lok-Prisso. „Nie, naturalnie” — odparł niemiecki admirał. „W takim razie — odrzekł dumny Afrykanin — sam będę wiedział, co czynić”.

Rezultatem tych smutnych zajęć było ogólne rozprężenie stosunków na Rzece Kameruńskiej, krajowcy pouciekali w gąszcze, zalegli *creeki*, wszelka komunikacja ustała. Do zatoki Ambas przybyła wtedy angielska korweta „Rapid”, mająca popłynąć do Fernando Poo, słysząc jednakże o tym, co zaszło na Rzece Kameruńskiej, komendant jej, p. Campbell, postanowił zawinąć najprzód do Kamerunu.

Chętnie przyjąłem jego zaproszenie udania się jego okrętem na wojującą rzekę, by przekonać się naocznie, czy rzeczywiście nie będziemy mogli wyruszyć teraz w głąb po rzece Lungasi. 26 grudnia i dnia następnego, stojąc na „Rapidzie” w Kamerunie, przekonać się musiałem niestety, że zamiar nasz jak na teraz był rzeczywiście niewykonalny, przyszło się więc pożegnać po raz drugi z planem dalszego dotarcia w głąb, odkładając to do jakiej późniejszej podróży, a tymczasem pomyśleć o powrocie do Europy dla odpoczynku.

Zanim to jednak nastąpiło, miało przejść jeszcze sześć przeszło miesięcy pełnych zajęć gorączkowych i nieoczekiwanych.

Wojna kameruńska, bombardowanie przez niemieckie okręty wspomnianych wyżej miast porzeczka przestraszyło krajowców gór i angielską osadę Victoria, poproszono więc angielskiego konsula p. Hewetta o utworzenie linii traktatów na wschodnich skłonach, które by zasłoniły kraje górskie również od strony rzeki Mungo, od której były jeszcze otwarte i wystawione na niebezpieczeństwo zaboru niemieckiego, który w takim razie mógłby być zredukować protektorat angielski, osiągnięty przez kanonierkę „Forward”, po prostu do nominalnej linii brzegowej.

Delegaci dra Nachtigala, jeneralnego komisarza niemieckiego, wyruszyli leż w rzeczy samej już od strony Bimbii i Mungo ku wschodnim skłonom gór. 4 więc stycznia,

<sup>126</sup>Knorr, Eduard von (1840–1920) — niemiecki admirał; znacząco przyczynił się do zbudowania niemieckiego imperium kolonialnego. [przypis edytorski]

podczas kiedy leżałem chory na febrę w Fernando Poo, przybył tam z Kamerunu p. Hewett, konsul angielski, prosząc przez wysłanego do mnie wicekonsula, p. Harolda White, bym mu nie odmówił widzenia się z nim na pokładzie kanonierki, która go przywiozła w sprawie Gór Kameruńskich, dodając, że sam leży chory na dyzenterię<sup>127</sup>. Gdy się uczułem zdrowszy, udałem się na pokład i po dłuższej rozmowie z konsulem zgodziłem się oddać mu przysługę, o którą chodziło, a mianowicie: udać się zaraz do zatoki Ambas, przekonać się o stanie rzeczy na wschodnich skłonach gór i postarać się o zabezpieczenie takowych dla angielskich interesów. P. Hewett dodał, że z przyczyny choroby sam do zatoki Ambas udać się nie może i że nawet, gdyby to mógł uczynić, byłoby to dla niego daleko trudniejszym zadaniem niż dla mnie ze względu na stosunek, w jakim stałem do krajowców. Przewieźć miała mnie korweta „Rapid” i rzeczywiście 6 stycznia stanęliśmy przed stacją Mondoleh, skąd zaraz wyruszyliśmy do Victorii, by nie tracąc czasu, przekonać się o stanie rzeczy. Tu panował ogólny niepokój. Na brzegu spotkał nas p. Brew, cywilizowany czarny, który przez angielskiego konsula był mianowany prezydentem Rady Victorijskiej (stanowiącej zarząd nowej tej posiadłości angielskiej), donosząc, że przy pomocy (wspomnianych już) Szwedów, mieszkających od roku mniej więcej w górach, Niemcy traktują z kacykiem kraju Likumbe, znajdującego się o kilka godzin drogi od Victorii, a stanowiącego główny jej rynek żywności, po odcięciu którego Victoria straciłaby główne warunki swego bytu.

Wyruszyłem więc zaraz w góry dnia następnego, poradziwszy zakłopotanemu p. Brewowi wydelegować ze mną emisariusza Rady Victorijskiej, który by w jej imieniu podpisał układ z kacykiem z Likumbe, wcielający tę miejscowość do kolonii Victorii, w razie gdyby takowy usłuchał mnie, o czym nie wątpiłem. Tak się też stało: kacyk Likumbe podpisał traktat angielski z reprezentantem Rady Victorijskiej i właśnie wznosiła się ich flaga na postawionym naprędce maszcie, gdy ujrzeliśmy przybywającą z drugiej strony parowu partię Szwedów, którzy, jak poznałem, stanęli z niemieckimi reprezentantami w takich stosunkach, jakimi były nasze do Anglików. Zawiedziona w Likumbe partia naszych antagonistów udała się, widząc, że przyszła za późno, niezwłocznie dalej do krajów Soppo i Buei, by nas tam uprzedzić, lecz pod tym względem nie potrzebowaliśmy się obawiać, gdyż zawczasu rozesłani posłańcy do owych kacyków, a również i telegraf krajowy — znany nam już bębenek — dozwalały nam porozumiewać się prędko z krajowcami, którzy nie przyjęli niemieckich delegatów mimo długich palawrów, lecz czekali naszego przybycia i połączyli się za przykładem Likumbe przez także traktaty z kolonią Victorią. Takie wyprawy i traktowania pomiędzy Bakwirami trwały do 25 stycznia, do którego to dnia główne klany wschodnich skłonów połączyły się z Victorią. Znajdowałem się właśnie w ostatnim z połączonych, w Lisoce, gdy nadszedł kurier z Victorii, przynosząc list zaopatrzony pieczęcią angielskiego konsulatu. Było to pismo wicekonsula p. Harolda White, pisane w Brass (jednym z ujść Nigru), a przywiezione przez kanonierkę „Watchful” do zatoki Ambas. Donosiło ono, że konsul Hewett musiał opuścić brzeg afrykański z przyczyny swej choroby i odpłynął do Europy, funkcje zaś jego objął p. Harold White i prosi o zakomunikowanie mu rezultatów osiągniętych w górach.

Ponieważ kanonierka czekała w zatoce Ambas, a list dający pożądane informacje byłoby niebezpieczne przesłać przez posłańca, przeto ruszyliśmy sami nazad do Victorii i na pokładzie kanonierki napisałem odpowiedź, wzywając pana White do Victorii.

Podczas tego pobytu naszego w górach niemiecki okręt wojenny zajął niewielki punkt — mniej więcej dwie mile — linii brzegowej pomiędzy naszym miasteczkiem Bubinde a przylądkiem Limboh. Punkt ten nazywał się Mukundange, a nie mógł być zajęty podczas krzyżowania<sup>128</sup> tu angielskiej kanonierki „Forward”, ponieważ wtedy krajowcy z przyczyny wojny znajdowali się w gęszczach. To było główną przyczyną, dla której wzywałem konsula. P. Harold White przybył też dnia 4 lutego na małym parowczyku, a równocześnie niemiecka korweta „Bismarck” stanęła przy Mukundange. Angielski konsul objął uzyskane przez nas traktaty, a dla zaprowadzenia porządku i władzy w rozszerzonej teraz znacznie kolonii Victorii objął równocześnie ster takowej. Ponieważ jednakże musiał z przyczyny licznych innych spraw być prawie zawsze w niej nieobecny, popro-

<sup>127</sup>dyzenteria — czerwonka, ostra choroba zakaźna jelit, której objawem jest uporczywa, krwawa biegunka. [przypis edytorski]

<sup>128</sup>krzyżować (żegl.) — płynąć zakosami, wykonując wielokrotne zwroty, halsować. [przypis edytorski]

sił mnie o tymczasowe przyjęcie władzy jego jako głowy kolonii z tytułem *Acting Chief Civil Commissioner*, dodając mi do dyspozycji i pomocy Radę złożoną z pięciu obywateli Victorii pod przywództwem wspomnianego już p. Brew.

Tymczasem rozgniewały osiągnięte przez nas rezultaty władze niemieckie na Rzece Kameruńskiej do takiego stopnia, że komendant korwety „Bismarck” przysłał mi oficjalne oświadczenie, że zostałem uwięziony przez władze niemieckie, jeśli mnie spotkano na niemieckim terytorium, a dnia 6 lutego ten sam komendant wystosował do konsula Harolda White zapytanie, czyby ten ostatni uważał za swój obowiązek protegowania<sup>129</sup> mnie, w razie gdyby siła zbrojna niemiecka wylądowała w Victorii lub w Mondoleh (tj. na angielskim gruncie) w celu uwięzienia mnie, twierdząc, że niejednokrotnie uprzedziłem i pokrzyżowałem ich zamiary i jestem dla niemieckich władz niezmiernie niedogodny. Mimo formalnego protestu zdziwionego oryginalnym tym żądaniem angielskiego konsula powtarzał komendant niemiecki takowe jeszcze kilkakrotnie, a do Europy doniesiono nawet pogłoskę znad Rzeki Kameruńskiej, że chęci komendanta Karchera<sup>130</sup> spełnione zostały. Była to jednakże pogłoska, niemająca żadnej podstawy. Angielski konsul odpłynął znów z Victorii, niemiecka korweta zaś stała wciąż przy Mukundange. Wreszcie dnia 12 lutego, gdy towarzysz mój Janikowski wracał z nadbrzeżnego miasta Batoki do Victorii w krajowym czólnie i bez wszelkiej broni, popłynęły nagle za nim trzy szalupy niemieckiej korwety, napełnione wojskiem i zaopatrzone każda w jedną armatę. Szalupy rozpoczęły ogień karabinowy na Janikowskiego, a gdy czółno jego mimo to płynęło spokojnie naprzód, wtedy otworzono ogień z korwety. Zdumiony Janikowski, który sądził z początku, że to ćwiczenia w niefortunnym wybrane kierunku, kazał swej załodze przestać wiosłować, gdy zaś pociski okrętowego działa padać zaczęły tuż koło głów załogi, takowa rzuciła się do morza, wstrzymaną zaś pirogę otoczyły łodzie niemieckie i dowodzący z oficerów uwięził Janikowskiego, twierdząc, że to Rogoziński.

Gdy przed wieczorem dopiero poznano pomyłkę, przeproszono mego towarzysza najspokojniej i oficer niemiecki odwiózł go na stację Mondoleh, gdzie oczekiwałem go z niepokojem i gubiąc się na próżno w domysłach, na jakiej podstawie odbyło się to krzyżące gwałcenie wszelkich praw międzynarodowych i ogólnie ludzkich.

Taki był przebieg owych spraw kameruńskich w głównych ich zarysach i w streszczeniu o ile możności obiektywnym.

Widząc, ile złej krwi sprawiło u władz niemieckich pomaganie me angielskiemu konsulowi, a które podjąłem w dobrej wierze ulżenia mu w pracy, wiedząc, że był chory, i wiedząc, że było to zgodne z życzeniami naszych krajowców, poznawszy także, jak fałszywie przedstawiono te zajścia w Europie, gdzie znajdowały się tylko przesadzone i przekręcone sprawozdania niemieckie reportera p. Zöllera, podczas gdy z angielskiej strony nikt rzeczy nie przedstawiał, wyjaśniłem sam opisane zajścia w liście pisanym w kwietniu (1885) do Lorda Randolfa Churchilla<sup>131</sup> w Londynie, a równocześnie usunąłem się od wszelkiej dalszej działalności w tym kierunku. Oczekując chwili powrotu do Europy, powróciliśmy do naszej pracy naukowej, do obserwacji i porządkowania zgromadzonych notatek i zbiorów.

Skończyłem przebieg naszej podróży. Równocześnie z tym jej niniejszym streszczeniem zestawiają się sprawozdania naukowe dla Akademii Umiejętności<sup>132</sup>, a potem do dalszej wyruszamy pracy pod równik. Walka naukowa jest jedyną walką, jaką prowadzić możemy w naszym kraju, i w każdej gałęzi pożytek przynieść ona mu może. W tej podróży ponieśliśmy niejedną ofiarę, którymi okupione są skromne nasze rezultaty. Ofiary te nas nie zrażą, owszem, przeciwnie — poznaliśmy obszerne pole pracy naukowej w owych stronach, a czując do nich powołanie, żadnym słowem zniechęcającym zrazić się nie damy. „*Per aspera ad astra*”<sup>133</sup> była i będzie naszą dewizą — a może uda nam się dalej

<sup>129</sup> *protegować* (z łac.) — tu: ochraniać, bronić. [przypis edytorski]

<sup>130</sup> *Karcher, Guido* (1844–1905) — niemiecki oficer marynarki wojennej; w 1884 jako dowódca okrętu „Bismarck” brał udział w militarnym ujarzmieniu Kamerunu. [przypis edytorski]

<sup>131</sup> *Churchill, Randolph Spencer* (1849–1895) — brytyjski arystokrata i polityk, ojciec Winstona Churchilla. [przypis edytorski]

<sup>132</sup> *Akademia Umiejętności* — polska instytucja naukowa utworzona w 1872 w Krakowie, po 1918 przekształcona w Polską Akademię Umiejętności. [przypis edytorski]

<sup>133</sup> *Per aspera ad astra* (łac.) — przez ciernie do gwiazd. [przypis edytorski]

przysporzyć ziomkom tego, co nam potrzeba, nie ofiar i męczenników, których ma kraj nasz dość — lecz pozytywnych rezultatów.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/rogozinski-pod-rownikami/>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Szolc-Rogoziński, Pod równikiem. Odczyty S.S. Rogozińskiego wypowiedziane w Sali Radnej miasta Krakowa, w Drukarni "Czasu" Fr. Kluczyckiego i Spółki, Kraków 1886.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa pochodzi ze zbiorów cyfrowych Biblioteki Narodowej.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Julia Stefaniak, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-6887-8

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.